Nr 14. Warszawa, d. 15 Lipca 1913 r. R. XV.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego": Nowy-Świat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).



KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W lipcu wolno polować: na dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), głuszco (koguty) cietrzowie (koguty), jarząbki (koguty) i wszelkie ptactwo przelotne.

Lunacya w lipcu.

Pełnia d. 22 o g. 3 m. — wiecz.
Ostat. kw. d. 29 o g. 5 m. — rano

Wschód i Zachód Słońca

w lipcu.

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
16	3	50	8	12
17	4	0	8	11
18	4	1	8	10
19	4	2	8	9
20	4	4	8	8
21	4	5	8	6
22	4	6	8	5
23	4	8	8	3
24	4	9	8	2
25	4	11	8	1
26	4	12	[illegible]	59
27	4	14	7	58
28	4	15	7	56
29	4	17	7	55
30	4	18	7	53
31	4	19	7	51

Bażancie jaja

od bażantów krzyżowych świeżo importowanych mongolikus × torqu. i angiel. × torqu. szt. 30 kop. — jaja od bażantów oryginal. mongolskich (Mongolikus) szt. rb. 1—z gwarancyą 80% zapłodnienia, sprzedaje Zarząd Dóbr **Zabokrzycz** (poczta) Podolska gub.

Wyżlica

niemiecka (Stichelhaar) w 2 polu, ułożona, do sprzedania. Zgłoszenia proszę nadsyłać sub. „Wyżlica" do Biura Dzienników Ungra — Warszawa, Wierzbowa 8.

„PERU"

dwutomowe dzieło **Jana Sztolcmana**, Redaktora „Łowca Polskiego" nader przychylnie ocenione przez krytykę.

Pouczające dla dorosłych, zajmujące dla młodzieży.

Nakład Gebethnera i Wolffa Kraków — Warszawa.

Do nabycia także w redakcji „Łowca Polskiego" w Warszawie, **Nowy-Świat 35**

Za 100 rb.

do sprzedania para 4-letnich jeleni (jeleń i łania). Łaskawe zgłoszenia: Polskie Biuro Leśne, Warszawa, Żóraw[illegible]2, tel. 90-90.



Cenniki bezpłatnie.

OSTRZEZENIE.

Skład broni p. f. „J. SOSNOWSKI"

uprasza W. Panów Myśliwych o łaskawe zwrócenie uwagi, iż znane bronie firmy **„G. Defourny-Sevrin, Liége"** nabywać można wyłącznie w powyższej firmie. Bronie z napisem niedentycznym pochodzą z fabryk konkurencyjnych, starających się wykorzystać sławę firmy **„G. Defourny-Sevrin"** a Liége, na podstawie podobnego nazwiska.

Z poważaniem **CZ. LISOWSKI**

generalny przedstawiciel fabryki „G. Defourny Sevrin" w Leodjum.

Championat „Tir Aux Pigeons w Warszawie na 1912 rok wygrany został bronią „G. Defourny-Sevrin".

Dworski teren polowania

5500 morgów

tanio do wydzierżawienia, lasy, pola, łąki i stawy. Stacya kolei 3 wiorsty. Bliższe informacye w Zarządzie lasów: Borowica poczta Rejowiec gub. Lubelska.



Wielki wybór rogów zagranicznych i syberyjskich:

Jelenie Sarnie Afrykańskich i Indyjskich Antylop i Bawołów.

Kolekcje za zaliczeniem pocztowem franco à Rb. 14. A) 1—8-ak jeleni i 1—8-ak meksyk. jeleń i Antylopa. B) 3 różne Antylopy. Kolekcja **C** za zaliczeniem kolejowem à Rb. 22. - 1) Gazella wielka (78 cm.), Antylopa Canna (75 cm.), 1 Antylopa Kudu (60 cm.), 12-aki jelenie na dębowych tarczach 90—100 cm wysoki, korona o 23—27 cm. Rb. 18—28 6-aki jelenie na dębowych tarczach 60—75 cm. Rb. 9—12.

Cenniki gratis i franco.

Karol Erdmann Warszawa, Solec 41.

istnieje od 1884 r.

ZAKŁAD

wypychania zwierząt i ptaków

p. f.

Antoni Łastowski

dawniej S. WYSOCKI

pozostaje na dawnem miejscu t. j. na Krakowskiem-Przedmieściu Nr. 22.

A. Łastowski

Bażantarnia

Żabokrzycz (poczta) Podole.

Sprzedaje w końcu Maja (n. st.) kilkaset bażantów na chów przeważnie Kur szt. Rb. 2. Wszystkie bażancie kury od nas, będą z gwarancyą w Maju i Czerwcu r. b. jaja znosić. Koguty: Angiel., Torq., Mongol×Torq. i oryginal. Mongolikus szt. od 2—4 Rb.

CHARTY ruskiej rasy (Psowyje) młode i szczenięta z psiarni hr. Stroganowa są do sprzedania w majątku Andruszowce poczta Szczuczyn-Wileński.

Leśnik-bażantarnik poszukuje posady w każdym czasie. Obznajmiony z hodowlą zwierzyny, chętny do tępienia drapieżników i prześladowania kłusowników. Łaskawe oferty: poczta Kaluszyn, g. warszawska Bojmnin S. M.

Żywe zające

Całą ilość żywych zajęcy z lasów Konstantynowskich sprzedaliśmy firmie:

Polskie Biuro Leśne (Ks. Z. Lubomirski i S-ka)

w Warszawie, Żórawia 40

gdzie prosimy zgłaszać się z zamówieniami

Zarząd Lasów Konstantynowskich

p. Janów Siedlecki.

Puhacze żywe

5 sztuk

PRACOWNIA

wypychania ptaków

Krak.-Przedmieście 38.

Łastowski.

Wyżły

ułożone od 7-miu miesięcy. Szczenięta 6-cio tygodniowe: gryfony, ostrowłose, settery gordony. Jabłonna, Park, nadleśny **R. Nowlerski.**



Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 344.

Nr. 14.	Warszawa, d. 15 Lipca 1912 r. Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.	Rok XV.

NA BŁOTACH.

Czy dziki w naszym kraju powinny być ochraniane czy tępione?

Zaledwie jeszcze przed paru laty dziki w małych i średnich majątkach leśnych należały do rzadkości lub też wcale w niepamięć poszły. Tu i owdzie pokazywały się pojedynki lub czasem przeciągała spłoszona maciora, i wtedy byli ci niespodziewani, a może i nieproszeni goście bardzo mile widziani i ostrożnie ochraniani. Goście ci coraz częściej zaczęli się potem pokazywać, tak, że i zimową porą na ponowie można było ich czasami stropić, a że zwierzyna ta przez niektórych myśliwych i leśników, jako tępiąca niektóre szkodniki leśne z rodzaju owadów, bardzo jest zachwalana, więc pomimo, że już w drugim i trzecim roku po zjawieniu się, zaczęły dziki, jako szkodniki w rocznych do trzechletnich zagajnikach się ukazywać i po polach szkody w ziemniakach a nawet i zbożach wyrządzać, — były chętnie widziane. A że dzik należy do zwierząt szybko się rozmnażających i na zmiany klimatyczne jest bardzo wytrwały, a do tego obdarzony od natury nadzwyczajnym słuchem i powonieniem, więc o ile zażywa względnego spokoju, — który tymi dwoma zmysłami zaraz zauważyć może, — czuje się w danej okolicy, gdzie się go do pewnego stopnia ochrania, bardzo swobodnie, — w krótkim czasie rozmnaża się do zastraszającej ilości i w cztery do pięciu lat po pojedyńczych sztukach zaczynają się pokazywać całe stada dzików.

Oprócz wyżej wymienionych właściwości, które dzikowi pobyt w lasach i rozmnażanie się ułatwiają, — przychodzi jeszcze do tego i jego siła, a i względna odwaga, i podczas, gdy psy kłusujące mogą szlachetną zwierzynę łowną wyniszczyć, bo nie mówiąc już o płochliwych sarnach i zającach w ogólności, potrafią też wyszukiwać i gniazda kuropatwie, bażancie i cietrzewie, to owe kłusujące psy pozostawiają dziki z reguły w spokoju i gdzie je natrafią lub poczują, z podejrzliwym respektem odwracają się od tego miejsca, i myślę, że mało jest pp. myśliwych lub leśników, którzyby mieli sposobność zauważyć lub spostrzedz psy na dzika kłusujące. I dziwna rzecz: nawet nasz zwyczajny kłusownik dwunożny, — chyba jaki specyalista — zwyczajnie woli kotną zajęczycę lub cielną siutę uprzątnąć, bo dzik za wiele mu ambarasu robi swoją wagą i objętością, a także i swymi przymiotami, bo na jego mięsie w niektórej porze roku i kłusownik by sobie zęby ponaciągał, a odbiorcy i dostawcy kłusowniczy po większej części są z tego rodzaju ludzi, że dzika dotknąć się, choćby i nieżywego boją się, bo dla nich jest zawsze trefny.

Dzik więc obecnie od paru lat jest zwierzyną do pewnego stopnia uprzywilejowaną, — a kiedy się zrobi polowanie na niego, to ze stada 10 — 15 lub 20 sztuk ile padnie od strzałów racyonalnych myśliwych? Wartoby mieć statystykę ubitych dzików choć z jednego roku i jednej gubernii, a pokazałoby się, że dzik niezasłużenie znalazł się w rzędzie zwierzyny ochranianej. — Czy więc na tę ochronę zasługuje?

W pierwszym rzędzie jego pomoc leśnikom przy ochronie lasu od owadów jest tak znikomej wartości, że jeżeli mogła w obecnych czasach być mową o jakiej jego użyteczności, to chyba przy wyryjaniu i zjadaniu poczwarek chrząszcza majowego, ale i tego szkodnika wyszukuje on tylko w niektórych ziemiach, a na innych zostawia go w spokoju. Przed dwoma laty w naszej okolicy zniszczyły poczwarki chrząszcza majowego dwuletni zagajnik sosnowy na 15 morgach doszczętnie. Dziki przez zagajnik ten przechodziły i obok niego w starszym zagaju duże doły wyryły, a tam gdzie się poczwarki chrząszcza majowego w olbrzymich ilościach znajdowały, nigdy ryć nie spróbowały. Nawiasowo mówiąc, o ilościach tych poczwarek, można się było w r. 1911 około końca lipca przekonać. Na wspomnianej powierzchni poczwarki zjadły doszczętnie sosnę (obgryzły korzonki), a i wszelka inna roślinność tam w czasie 3-miesięcznej posuchy wyschła, a poczwarki nie mając czem się żywić, a prawdopodobnie także od upału i posuchy, powyłaziły w setkach tysięcy sztuk w bruzdach zagajnikowych, i tam spieczone od słońca poschły, jak grzybki na powierzchni ziemi. I dziki zagajnika nie uratowały, a co ważniejsza nawet nie spróbowały ratować. Inne szkodniki leśne z rodzaju owadów, któreby mogły być przez dziki tępione, występują w naszych czasach tak sporadycznie, że nawet w rachubę ich brać nie można.

Tak więc dzik, jako sprzymierzeniec leśnika w ochronie lasu, sam nie zasługuje na ochronę!

Przypatrzmy się bliżej, co to za sprzymierzeniec myśliwego. Obdarzony znakomitym węchem, bo nieprzyjaciela może już i na 500 kroków zwietrzyć, a coś dla niego smacznego, np. młode sarnięta w zagaju, łące lub zbożu, — młode zajączki pod miedzą lub krzakiem, — jaja kuropatwie, bażancie lub cietrzewie poczuje na kilkadziesiąt kroków, a że apetyt po większej części i przez większą część roku ma bardzo dobry — a od zachodu do

---

Sylwetki dawnych myśliwych.

„WALIGÓRA"

Tak nazywał się rzeczywiście stary, bo przeszło 60 lat liczący człowiek, średniego wzrostu, suchy jak krzak, z małą, kozią bródką. Zimą i latem nie wyłaził ze swej szarej kapoty i długich, daleko za kolana sięgających butów. Mówiąc, kręcił głową ustawicznie na wszystkie strony i z pod krzaczastych brwi patrzył ponuro a przebiegle zarazem.

Historya pana Waligóry była wcale nie zawiła: miał folwarczek (czy też tylko zagrodę), gdy nadciągnęła burza 1863 roku. I trzeba przyznać, że nie namyślał się p. Waligóra: co miał—sprzedał, kupił 6 koni, tyleż strzelb i w siedmiu chłopa pociągnął do Bończy... Po śmierci tegoż pod Pińczowem przechodził z partyi do partyi, aż nakoniec, gdy nieszczęsna partyzantka się skończyła, pan Waligóra, jak za dobrych czasów, wrócił do swej zagrody na koniu, z lancą i przy szabli, gdzie go naturalnie zaraz aresztowano i do powiatu odstawiono. Lecz stary partyznat umknął z aresztu i gdzie... wprost na Syberyę, a tam zameldował się władzy w ten sposób:

— Mieli mnie powiesić, albo jak psa wlec, sam jestem, gdzie trzeba, bo tu przynajmniej polowania mi nie braknie, a powieszą... to nie będzie miał kto żałować tutaj.

Stary pułkownik, któremu p. Waligóra „zameldował się" w podobny sposób, sam był zapalonym myśliwym, prędko więc przyszli do porozumienia, a ponieważ p. Waligóra spokojnie siedział i awantur nie robił, zdaje się, że w 12 lat potem pozwolono mu wrócić do kraju.

Znacznie później dopiero poznałem go, naturalnie na polowaniu w charakterze leśnika. Spojrzał na mnie z podełba, surową twarz ocukrzył uśmiechem i wskazał stanowisko.

Ruszyła naganka, jako zwyczajnie budząc rozgardyaszem uśpiony las, co chwila na dukcie migały kozy, do których nie strzelano, bo zakład był na grubego zwierza. W prawej lufie ciężkiej dwunastki miałem kulę ołowianą, obszytą w irchę, w lewej — śrót 6°/₀, gdy zaszeleściło coś w mocno podszytej ścianie lasu i nagle jeleń — spory mignął na dukcie, lecz wpierw jeszcze zmierzywszy w szyję, palnąłem raz po raz. Nie pomny na nic, rzuciłem się po za dym: jeleń przyklęknął na przednie nogi i zwalił się bez życia na bok; prawie że o parę cali od ziemi dosięgnął go strzał sztucerowy myśliwego, stojącego mi od prawej ręki. Kula świsnęła mi nad czapką i jeleń dostał na komorę.

wschodu słońca, chociaż w krótkiej nocy majowej lub czerwcowej, ma dosyć czasu zaraz z wieczora przeszukać wszystkie wrzosowiska za cietrzewiami, koło 10 — 12-ej godziny brzegi lasów i zagajników, a koło północy i nad ranem wszystkie pola okoliczne; — chociaż tych godzin tak zupełnie regularnie nie dotrzymuje, bo czasem zaraz po zachodzie słońca można go już w polu buszującego spotkać, a nawet czasami wybiera sobie pole na kilkodniowy odpoczynek, stosownie do zastawionego stołu i spokoju.

Czyż może więc być jaka mowa, gdzie się dziki znajdują, o dalszej ochronie zwierzyny szlachetnej, łownej.

Szlachetny myśliwcu! jeżeli masz w swoim rewirze dziki, a jesteś w tym stanie lub położeniu, że z jakiegoś powodu nie możesz się ich pozbyć, to pożegnaj się z resztą twojej zwierzyny łownej, bo chyba tylko kuna lub tchórz jest w stanie tyle spustoszenia w gospodarstwie łowieckiem narobić, co dzik.

Czyż więc w naszych okolicach, gdzie są już to w stanie natury, a bardzo często sztucznie zaprowadzone gospodarstwa łowieckie, dzik wobec swych przymiotów powinien być dalej cierpianym?. A do tego wszystkiego, oprócz tego, że dzik bezpośrednio tępi nasze zwierzostany, przychodzi jeszcze jedna bardzo ważna sprawa, która go czyni bezpośrednim szkodnikiem w kraju, a mianowicie: Jak ogólnie wiadomo, dzik nocami wychodzi bardzo chętnie na pola i już to za pędrakami, drutowcami lub dżdżowcami ryje, gdzie go los przyprowadzi, a więc ryje i na chłopskiem życie i w chłopskich ziemniakach — proso i tatarkę z reguły zjada mu do szczętu, a że chłop to posiał dla siebie i dla swoich dzieci, więc broni się od szkody, jak może; zakłada straszydła, ale wkrótce przekonuje się, że dzik straszydło podrył i czasem gałgany, w które straszak był ubrany, potargał i poroznosił, i przy tem jeszcze mu więcej szkody przez wydeptanie pola zrobił; — widząc to chłopek uczciwy, bo tym razem mowa tylko o uczciwych, — zakłada ogień i po dziennej pracy idzie na noc w pole i ogień tam roznieca i utrzymuje. Tymczasem albo mu zabrakło opału, albo też znużony zasnął, — ogień przygasł, a dziki przyszły, i tylko o kilkanaście kroków od niego ziemniaki poryły, albo proso zjadły. — Wtedy chłopek myśli, żebym ja mógł jaką pukawkę, choćby za 3 ruble, a nie żałowałby i 5 rubli, dostać! I po niejakim czasię dostał za dziesięć złotych i poszedł z nią nocną porą pilnować prosa, strzelił do dzików, lecz nie zabił, — ale dziki w popłochu, aż ziemia dudniała — uciekły.

Strzał go kosztował 20 groszy, bo proch dostał z dziesiątej ręki w sekrecie, a więc drogo za niego zapłacić musiał — a tylko dziki wystraszył, bo choć tam może i jaki kawałeczek pociętego gwoździa dzika drasnął, to daleko do tego było, ażeby go zabił, — bo strzelba do niczego i naboje licho zrobione, — myśli więc o lepszej strzelbie, takową dostanie, — a że ta lepsza więcej kosztowała, więc trzeba coś odbić. Dzika i tak on nie zabije, bo tak blizko boi się strzelać, ale za to biedny szarak to przylezie do niego na dwa kroki, — widział go blizko siebie parę razy, ale nie strzelał, bo Jaśnie Pan możeby się gniewał, a borowy, albo leśniczy jakby się dowiedzieli, toby nim pogardzali, a może i do sądu z nim poszli, a więc nie strzelał raz, i drugi, i dziesiąty, aż tu nagle nadbiegła raz wystraszona siuta z dwoma małemi sarniątkami. To było za wiele pokusy dla chłopka, małe puścił, ale do dużej strzelił i nawet nie bardzo chciał, ale zabił, a małe odskoczyły kilka kroków, przystanęły i zaczęły kwilić zdziwione, co się właściwie stało, że matki koło nich niema. Sarniątka długo z miejsca nie uciekały, a chłop z wielkim strachem pierwszą siutę zaniósł do domu, nie bardzo mu i mięso smakowało, trochę się wstydził z domu wychodzić, ale jak już całą uprzątnął, postanowił sobie, że takiej wielkiej sztuki już nigdy nie będzie strzelał, chyba tylko zająca, bo tego łatwo i skryć, i przynieść, a można i prędko uprzątnąć! — I tak z uczciwego chłopka zrobiły dziki kłusownika. Takich kłusowników wytwarza się w ostatnich miesiącach tysiące i stan zwierzyny łownej szlachetnej jest przez dziki w całym kraju z wyjątkiem jakichś specyalnych miejscowości — zagrożony, i jeżeli tak dalej pójdzie, to będzie w rewirach dużo dzików, z tych w roku ubije się 1 albo 2, a sarny, zające, cietrzewie, bażanty i kuropatwy będą należały do rzadkości, jak to w niektórych okolicach na północny wschód! Dziki można więc uważać obecnie za jedną z głównych przyczyn do upadku już istniejącego stanu zwierzyny łownej, lub też za jedną z najważniejszych przeszkód w zaprowadzeniu miłych i zyskownych gospodarstw łowieckich.

Ktoś może mi zarzucić, że jest to sprawa osobistego zapatrywania, a może ktoś znów dorzuci: a ja wolę jednego dzika zabić raz na dwa lata, niż sto zajęcy na jednem polowaniu. Naturalnie i to ma swoją racyę bytu, ale w pierwszej linii gospodarstwo łowieckie musimy w tych czasach uważać za gałąź majątku krajowego, a przy ochronie dzików do tego majątku nigdy nie dojdziemy.

Dziki w miernej ilości mogłyby być cierpiane tylko w wielkich obszarach leśnych, 10.000 do 20.000 morgowych, i to tylko tam, gdzie już w kniei znajdują potrzebne poży-

---

Cofnąłem się mimowoli na stanowisko, bo właśnie przed niem znów głośny wrzask naganki zabrzmiał i zaledwie zdążyłem założyć nowe ładunki, gdy w samym końcu skrętu dukta mignął lis i wpadł w gęstwę, a za nim śruty z mej prawej lufy... Pudło pewne—pomyślałem, lecz ten dzień był szczęśliwszym, bo i lis, zapewne ślepem zrządzeniem losu dostał śmiertelnych parę śrucin. Sąsiad mój, p. R., gdy zbierano zwierzynę, oczywiście nie omieszkał pochwalić się swym celnym strzałem na komorę. Dziwna rzecz, nie widział tylko potężniejszej rany w szyi byka, którą mu zadała duża moja kula. Nie sprzeczałem się ,nawet i ja starałem się nie zauważyć rany zadanej moją kulą; ba... nie chcąc psuć humoru panu R., nawet cieszyłem się jego trafnym strzałem, gdy przyszedł stary p. Waligóra, pokręcił brodą, łypnął ku mnie okiem, spojrzał na pana R., nareszcie wzruszywszy nieznacznie ramionami, splunął, bo taki miał zwyczaj i rzekł skrzypiącym głosem:

— Ta dziura jak od kartofla, a ta sztucerowa to już go po śmierci zajęła...

Parę stłumionych śmiechów zabrzmiało dokoła, a nie chcąc psuć uciechy p. R., nie przyznawałem się do kuli, twierdząc, że strzelałem loftkami i... ponieważ nie było tego, kto zabił... więc p. R. został „królem".

Stokroć lepiej uradowałem się lisem, a głównie znakomitym rezultatem ładunku, długoletniej kombinacyi...

Gdyśmy siedzieli już przy ognisku po skończonem polowaniu, podszedł do mnie p. Waligóra.

— Tfu... pozwoli pan, że obejrzę jego strzelbę. A no armata, niema co, ale jeleń tylko machnął, co?

— Ej, po co pan psuł humor p. R.? — zagadnąłem starego.

— Tfu, jakto po co, albo to on co w swojem życiu sam zabił, iż strzela przez 6 par okular, to panie tego, do... niczego — chciałem rzec.

— A napijmy się czego.

— A napijmy — odparł, jak echo, Waligóra i trącilišmy się ze starym.

Odtąd zawarliśmy znajomość i polowaliśmy nieraz. Tu dostrzegłem, że pan W. był to stary wyga... Nie na próżno chłopi bali go się jak ognia, i mawiali, że ze „złym" trzyma. Parę razy wyprowadził mnie w pole! Poszedł ze mną, a raczej ja z nim na lisy; na niego wyszły 3 sztuki; na mnie nic. Nie był to prosty traf, tylko iście lisia chytrość starego. Wybraliśmy się znów do tych samych nór.

— Pan pójdzie do olchy ,a ja od pagórka — zaczął stary, ale mu nadspodziewanie przerwałem.

Stanisław Nabój.

(D. n).



wienie, a więc w lasach bukowych i dębowych, gdzie latem i zimą żer znajdują i z granic lasu wychodzić nie są zmus one.

Józef Sikora.

Powyższy artykuł wydrukowaliśmy nie w tym celu bynajmniej, by propagować tępienie dzików, lecz przeciwnie — wiedząc, iż poglądy Szanownego Autora dzieli wielu myśliwych i hodowców, pragniemy wziąć w obronę tego wspaniałego zwierza, który i bez wątpienia skazany jest na zagładę w krajach cywilizowanych, a to wskutek ciągłego zmniejszania się większych obszarów leśnych, trzebionych niemiłosiernie przez różnych aferzystów, a następnie parcelowanych i zamienianych na włościańskie pola orne.

Myli się Szanowny Autor, twierdząc, że dziki rozmnażają się z niepomierną łatwością, które to twierdzenie da się zastosować w nielicznych tylko wypadkach, przy bardzo sprzyjających warunkach. Weźmy za przykład choćby gubernię warszawską, a mianowicie leżące w sąsiedztwie kompleksy lasów: oborskich, chojnowskich, mrokowskich i łoskich. Lat temu trzydzieści w lasach tych trzymało się mnóstwo dzików i dość powiedzieć, że w takich Oborach, Łosiu lub Chojnowie padało po 8, 10 i więcej dzików w ciągu jednodniowego polowania. A dziś, mimo, że powierzchnia tych lasów nie zmniejszyła się, a właściciele ich otaczają zwierzynę, a w jej liczbie dziki, doskonałą opieką, liczba tych ostatnich zredukowaną została do zera niemal, gdyż ledwie kilka stad świadczy o dawniejszem ich tu przebywaniu, w Oborach zaś wyginęły doszczętnie. Toż samo dzieje się po drugiej stronie Wisły, gdzie lat temu trzydzieści na sąsiadujących ze sobą leśnictwach, warszawskiem, miłosieńskiem, rządowem i nieporętskiem dziki stale przebywały w znacznych ilościach, a dziś nie znajdzie ich tam na lekarstwo. Czyż nie da się tego samego powiedzieć o lasach gubernii kaliskiej, gdzie przed laty takie majątki, jak Grymiszew pp. Pułaskich lub Rychłocice p. Nekanda-Trepki, słynęły ze świetnych, dziczych polowań, a gdzie dziś, sądząc z wykazów, dziki albo zupełnie wyginęły albo prowadzą jeszcze suchotniczy żywot, zanim nie znikną zupełnie z ich powierzchni.

Rozejrzyjmy się tylko po Królestwie Polskiem, gdzie się jeszcze znajdują dziki, a przekonamy się, że liczba ich znacznie zredukowaną została. O ile sięgają nasze wiadomości, w guberniach: warszawskiej, płockiej i bodaj łomżyńskiej dziki wyginęły doszczętnie, a przynajmniej liczba ich jest tak nikła, że ich na rachubę brać nie można. Toż samo da się powiedzieć o gub. suwalskiej, gdzie zwierzyna ta trzyma się jeszcze w nieznacznych ilościach w leśnictwach rządowych. W gub. kaliskiej dziki jeśli się jeszcze trzymają, to w każdym razie liczby ich nie można porównać z tem, co było przed laty trzydziestu. W gub. piotrkowskiej głównym rozsadnikiem dzików była Spała, dzięki ochronie, jaką się tam cieszyły. Lecz i ta ostoja dziczego rodu przestanie wkrótce istnieć, gdyż wskutek szkód, jakie dziki czyniły w zwierzostanach jeleni i sarn, wydano rozkaz urządzenia specyalnego parku na dziki, które mają być następnie wytępione na całej przestrzeni leśnej. W gub. radomskiej dziki trzymają się jeszcze dzięki ochronie w lasach staszowskich ks. Macieja Radziwiłła, w lasach Starachowickich Towarzystwa Lilpop, Rau i Lewenstein, w lasach ćmielowskich ks. Aleksandra Druckiego-Lubeckiego, oraz w niektórych innych leśnictwach, lecz i tu liczba ich w porównaniu z latami ubiegłemi, znacznie zredukowaną została. Wgub. kieleckiej dziki znajdują się tylko w kilku majątkach i to w nieznacznej ilości. Pozostają nam jeszcze dwie gubernie, leżące naprawo na zachód od Wisły, a mianowicie: lubelska i siedlecka, gdzie bodaj spotyka się jeszcze najlepszy stan dzików, zwłaszcza w tej ostatniej. W gubernii lubelskiej olbrzymie lasy ordynacyi Zamoyskiej postawić należy na pierwszem miejscu, a jednak i tutaj liczba dzików zmniejszyć się musiała, o ile sądzić można z rezultatów polowań. Pozatem istnieją jeszcze piękne, dzicze polowania w lasach bogusławskich i kraśniczyńskich hrabiów Poletyłów. Natomiast nie słychać już jakoś o słynnych niegdyś polowaniach w Tarnawatce, gdzie jeszcze lat temu piętnaście roiło się od dzików. Gubernia siedlecka jest bodaj dzisiaj najlepiej zasiedlona przez dziki, że wymienimy takie majątki, jak Międzyrzec hrabiów Potockich, Rożanka hr. Augusta Zamoyskiego, Czemerniki hr. Karola Raczyńskiego, Radzyń p. Szlubowskiego, Sterdynia i Cyranów pp. Górskich, Podzamcze hr. Andrzeja Zamoyskiego, Woronice ks. Czesława Światopełk-Mirskiego i wielu innych. A jednak i tu zniknęła pod toporem jedna ważna ostoja dzików, a mianowicie lasy bialskie niegdyś ks. Radziwiłłów, później hr. Hohenlohego.

Z powyższego przeglądu widocznem jest, że ilość dzików w Królestwie Polskiem bez specyalnej, przeciw nim skierowanej interwencyi człowieka, znacznie zredukowaną została w ciągu ubiegłych lat trzydziestu, a to głównie wskutek znikania lasów z powierzchni ziemi.

Zastanówmy się teraz, czy rzeczywiście dzik jest tak szkodny, jak to utrzymuje Szanowny Autor. Niewątpliwie zwierz ten niszczy przy sposobności jaja cietrzewi, bażantów i innych gatunków, lęgnących się na ziemi; nie daruje też młodej sarence, lub cielakowi jelenia, gdy mu się po temu sposobność nadarzy. Czy jednak szkody, jakie czyni w zwierzostanach, są tak znaczne, żeby go aż na zupełną zagładę skazywać? Czyż nie mamy przykładów, że przy znacznej ilości dzików stan sarn i zejęcy był świetny? Dość nam przytoczyć majątek Staszowski, w którym za życia ś. p. namiestnika Andrzeja hr. Potockiego dzików było tak dużo, że na kilkodniowem polowaniu padało ich po trzydzieści i więcej sztuk, a mimo to stan sarn był tak świetny, jak nigdzie w kraju, skoro trzech myśliwych w dwa i pół dnia, czyli w pięć podjazdów zabiło 75 rogaczy! Dzik jest przedewszystkiem szkodny w polu, lecz i te szkody są zawsze oceniane powyżej ich rzeczywistej wartości; a zresztą mamy na to sposób w formie odszkodowania pieniężnego za poczynione straty, przy jednoczesnem podkarmianiu dzików padliną, co je od inkursyj w polu powstrzymuje. Tam, gdzie prawidłowa hodowla istnieje, karmienie zwierzyny, a wśród niej i dzików, jest niezbędne, bo inaczej, czy to sarny, czy jelenie lub dziki zawsze szkody na okolicznych polach czynić będą.

Ten wzgląd, że dziki przyczyniają się do wytwarzania kłusowników, wydaje nam się błahym i na oderwanych wypadkach opartym. Kłusowników wyrabia chciwość łatwego zarobku, poparta w wielu wypadkach wrodzoną żyłką myśliwską. Chłop, zarabiający dziennie ciężką pracą 25 — 30 kop., poświęciwszy się kłusownictwu, z łatwością zarobi bez trudu dziennie rubla, a nawet kilka rubli, ryzykując tylko, że go czasem gajowi obiją, lub że go sąd skarze na grzywny, których i tak nigdy nie zapłaci dla braku środków. I przeważnie tak się dzieje, że kłusownictwo w naszym kraju tam jest najwięcej rozwinięte, gdzie niema wcale dzików, za przykład czego mogą nam służyć dwie gubernie: płocka i łomżyńska, w których największy kontyngens kłusowników dostarcza szlachta zagonowa. Porzućmy więc raz na zawsze myśl, że dziki w czemkolwiek się przyczyniają do wzrostu kłusownictwa.

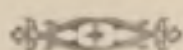
Tak więc według naszego zdania, nie należy propagować energicznej kampanii przeciw dzikom. I bez tego jest to zwierz skazany na prędszą lub późniejszą zagładę, raz z powodu znikania lasów z powierzchni ziemi, a powtóre wskutek naturalnego prześladowania ze strony człowieka. Wszak z wyjątkiem niektórych większych majątków, gdzie dziki podlegają ochronie, zwierzyna ta jest tropiona zarówno przez włościan, jak i przez średnich posiadaczy ziemskich. Ratuje ją jedynie od zupełnej zagłady niezwykle rozwinięty zmysł samozachowawczy, poparty czujnym słuchem i delikatnym węchem. Bez nich dziki byłyby od dawna wytępione.

Kiedyś mieliśmy w faunie naszego kraju tura, żubra, niedźwiedzia, dziś pozostał nam dzik jedynie, jako ślad żyjący tych dawnych polowań, na których myśliwy spotykał się oko w oko z niebezpiecznym przeciwnikiem. Cóż wyrówna czarowi zimowych polowań, kiedy to na śnież-

nym całunie lasu pojawi się sylwetka wspaniałego odyńca, przejmując ciało nasze dreszczem niepewności i żądzy? Sadzi potężna machina, fukając i sypiąc tumany rozpylonego śniegu, a nam serce zda się, bije, aż póki wysiłkiem woli nie opanujemy nerwów... Mierzymy... Za chwilę ta wspaniała ozdoba lasów naszych zamienia się w martwą masę, z której zgraja naganiaczy rwać będzie bezmyślnie szczecinę, aby ją za kilka groszy szewcowi w miasteczku sprzedać!...

Żal nam dzika, jak nam żal każdego zwierza, znikającego fatalnym zbiegiem losu z powierzchni ziemi. Nie przyśpieszajmyż przynajmniej dobrowolnie tego biegu; otoczmy raczej tą prastarą zwierzynę opieką, aby jaknajdłużej świadczyć nam mogła o świetnych czasach naszego dawnego łowiectwa.

I. S.



GUSTAW SZABLOWSKI.

O rozmieszczeniu głuszca w Królestwie Polskiem.

(C. d.)

3) *Lasy dóbr Modliborzyce.* Głuszce znajdują się w obrębie Kalenne na przestrzeni około 1000 morgów. Zamieszkują drzewostany sosnowe, rosnące na równinach i miejscach bagnistych. Podszycie lasu stanowi drobna jodła, ale bardzo rzadko, tylko na brzegach błot. Gleba pod lasem piaszczysta, w nizinach torf. Z jagód leśnych najwięcej łochyń, najmniej żurawin. Polowanie w użytkowaniu właściciela dóbr. Ochrona zwierzyny wprowadzona i straż leśna otrzymuje strzałowe za zabite szkodniki. Wskutek jednak położonych w lesie czterech wsi, trudna walka z włóczącymi się psami. Pasza bydła wobec ułożenia serwitutu będzie skasowana. Kłusownictwo rozwinięte. Kłusownicy strzelają głuszce głównie na tokach, zarówno koguty, jak i kury. Na ogół jednak na głuszce są mniej łakomi, niż naprz. na sarny i zające. Ogólny stan głuszców w roku 1911 wynosił około 30 sztuk. Koguty tokują zawsze pojedynczo. Wiosną 1911 r. było wysłuchanych na tokach 2 czy 3 koguty, dawniej bywało 5 do 6. Dwór zabija rocznie nie więcej, jak 1 koguta; w 1911 r. nie zabito żadnego. Kłusownicy zabijają rocznie po kilkanaście sztuk. Sądząc na oko, liczba głuszców w ostatnich 5 latach wyraźnie się zmniejszyła. Z powodu fatalnego położenia 4 wsi wśród lasu, grozi głuszcom zagłada.

4) *Lasy dóbr Stojeszyn.* Głuszce znajdują się w obrębie Gwizdów na przestrzeni około 500 morgów. Zamieszkują drzewostany sosnowe, rosnące przeważnie na miejscach błotnistych. Podszycia w lesie niema. Gleba pod lasem przeważnie torfiasta, na nielicznych wzgórkach piaszczysta. Jagody leśne w obfitości, bardzo też dużo rośnie bagna.

Polowanie w użytkowaniu właściciela dóbr; do głuszców nie strzela się wcale. Ochrona zwierzyny wprowadzona i za zabicie szkodników płaci się strzałowe. Paszy bydła w lesie niema. Kłusownictwo nie zbyt rozwinięte, walka z kłusownikami się prowadzi. Ogólny stan głuszców w 1912 roku wyniósł około 30 sztuk. Koguty tokują przeważnie pojedynczo. Sądząc na oko, liczba głuszców w ciągu ostatnich 5 lat powiększyła się. Zaginięcie głuszcom nie zagraża.

5) *Lasy dóbr Zdziechowice.* Głuszce znajdują się w obrębach: Irena, Łążek i Tartak na przestrzeni około 2.500 morgów. Zamieszkują drzewostany sosnowe, niczem nie podszyte, rosnące na równinach i miejscach błotnistych. Gleba pod lasem piaszczysta z niewielkiemi przestrzeniami torfów. Wszystkie jagody leśne rosną w obfitości.

Polowanie w użytkowaniu właściciela dóbr. Ochrona zwierzyny prowadzi się słabo, gdyż straż leśna nie otrzymuje strzałowego. Skutkiem nieuregulowanego jeszcze wszędzie serwitutu, paszą bydło w lesie, co bardzo ujemnie wpływa na ilość głuszców. Kłusownictwo silnie rozwinięte, walka z kłusownikami prowadzi się z niewielkim rezultatem. Ogólny stan głuszców w 1912 roku wynosił około 10 sztuk. Koguty tokują tylko pojedyńczo. Do głuszców się nie strzela; w ostatnich 11 latach zabity był tylko 1 kogut. Stan głuszców w ciągu ostatnich pięciu lat, sądząc na oko, poprawił się. O ile serwitut będzie uregulowany i pasza bydła skasowaną, głuszcom przestanie grozić zagłada.

6) *Lasy dóbr Gościeradów.* W zimie 1911/12 roku trzymał się przez parę miesięcy jeden głuszec - kogut w obrębie Zawolcze, przylegającym do lasów dóbr Zdziechowice. Obecnie głuszców niema. Zresztą prócz obrębu Zawólcze, lasy Gościeradowskie nie przedstawiają terenów, odpowiednich dla istnienia głuszców.

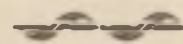
Powiat Biłgorajski. Głuszce tutaj spotykają się w lasach niżej wymienionych dóbr prywatnych.

Leśnictwo Krzeszów Ordynacyi Zamoyskiej. Głuszce znajdują się w obrębach: Hajduk, Dąbrowa i Radocha na przestrzeni około 6500 morgów. Zamieszkują drzewostany sosnowe z domieszką jodły, rosnące na równinach, przeważnie błotnistych. Podszycie lasu stanowi młodzież sosnowa i jodłowa. Gleba nad lasem piaszczysta, sapowata. Jagody leśne w obfitości, jak również wrzos.

Polowanie w lasach w użytkowaniu właściciela, prawidłowej ochrony zwierzyny niema, tępienie drapieżników pozostawione dobrej woli i amatorstwu straży leśnej. Skutkiem serwitutu pasza bydła w znacznej ilości, co bardzo ujemnie wpływa na ilość głuszców. Kłusownictwo bardzo silnie rozwinięte. Całe wsie, położone wśród lasu, składają się z kłusowników. Na głuszce kłusownicy polują chętnie. Walka z kłusownictwem słaba.

Ogólny stan głuszców w 1911-ym roku trudno dokładnie określić. Pewne pojęcie o ilości głuszców może dać liczba 20 kogutów, wysłuchanych w tokach wiosną 1911 r. Tejże wiosny zabito na polowaniach 2 koguty. O ilości kogutów zabijanych na polowaniach dawniej, brak danych. Toki są nieszczególne, głuszce tokują przeważnie pojedyńczo. Sądząc na oko, ogólny stan głuszców w ciągu ostatnich 5 lat znacznie się pogorszył. O ile pasza bydła nie będzie uregulowana i nie będzie zaprowadzona prawidłowa ochrona, głuszcom grozi zagłada.

(C. d. n.).



PRZED WYPYCHANIEM PTAKÓW.

Ptaka przed wypchaniem należy utrzymywać czysto, w świeżości i w całości. Właściwości upierzenia jak również i obawa przed uszkodzeniem wymagają nadzwyczajnej pieczołowitości przy wypychaniu. Poniżej opiszemy, jak należy obchodzić się z ptakiem przed wypchaniem, aby odpowiadał on w zupełności wymaganiom preparatora.

Przypuśćmy, że mamy do czynienia z postrzelonym ptakiem drapieżnym. Żyje on jeszcze, lecz latać nie może, kładzie się na wznak, stara się bronić rozpaczliwie. Bierzemy go ostrożnie za skrzydła i nadajemy mu pozycyę siedzącą lub jak do lotu. Kiedy oba skrzydła zgięte nad karkiem tak do siebie zostały zbliżone, że można je trzymać jedną lewą ręką, wówczas chwyta się prawą ręką korpus za kark, palcami dotyka się żeber (dużym z lewej strony, innymi z prawej), naciera się mocno płuca i w ten sposób w kilka chwil uśmierca się ptaka. Ten sposób zabicia wymaga najmniej zachodu, nie powoduje żadnych zewnętrznych obrażeń i jest mniej męczący, niż inne sposoby. Dobijanie ptaka przez uderzenie tępem narzędziem lub też przez uderzenie łbem o drzewo lub obcas nie jest przyjętem w łowiectwie, powoduje rozbicie

czaszki i wywołuje wewnętrzny wylew krwi, co utrudnia niezmiernie wypychanie. Tak samo należy unikać przekłucia nożem lub piórem.

Po zabiciu ptaka należy zbadać uszkodzenia, krew obmyć watą, którą wskazanem jest mieć zawsze przy sobie, rany zapchać watą. Następnie wypróżnia się gardziel przez łagodne uciskanie w kierunku do otworu dzioba, z którego zawartość usuwa się patyczkiem lub drucikiem, owiniętym watą lub szarpiami.

Z powodu, że ptak nie będzie zaraz wypchany, gardziel należy osuszyć, obracając w niej patyczek owinięty watą, następnie wsypać tłuczonego ałunu, bacząc, aby ten środek zapobiegawczy był równomiernie rozdzielany.

Tak samo obchodzić się należy z dziobem. Po wsypaniu jeszcze kilku ziarnek ałunu do otworów nosowych, zatyka się je i zamyka mocno cały dziób; najlepiej przeciągnąć nitkę przez otwory nosowe i mocno związać górną i dolną pokrywy dziobu. Na oczy nakłada się cienkie płatki waty i przykrywa się je. Należy również bardzo troskliwie zatkać, wsypawszy tam uprzednio nieco ałunu zmieszanego z gipsem.

Nie należy dotykać się piór rękoma. O ile możności ptaka trzeba trzymać za łapy, dziób i skrzydła. Nikomu obcemu nie wolno dotykać się do ptaka.

Jeżeli ptaka ma się przenieść niedaleko, najlepiej nieść go za łapy, tak jednak, by te się nie obijały o upierzenie. Przy dalszym transporcie ptaka owija się w papier po uprzedniem wygładzeniu pierza i skrzydeł. Szyi nie należy wyciągać, lecz zgiąć, skrzydła przycisnąć do ciała tak, żeby łapy znajdowały się w pobliżu dolnej części ogona. Obwijać należy ściśle, tak jednak, aby nie były pogięte końce skrzydeł i pióra ogona. Gdyby do dalszego transportu było potrzebne opakowanie mocniejsze, owija się wówczas ptaka kilkakrotnie w gazety, a następnie w cienką tekturę i obwiązuje się sznurkiem.

Przy użyciu skrzynki należy wolną jej przestrzeń wypełnić mchem, sianem, słomą, papierem lub t. p., aby ptak był nieruchomy w skrzynce.

Po otrzymaniu transportu ptaka należy zaraz odpakować; jeżeli był opakowany niewłaściwie, braki uzupełnić natychmiast. Opierzenie wyrównywuje się lekko, potrząsając ptakiem, trzymanym za łapki. Gdy ptak ma być później wypchany, wiesza się go za nóżki w suchem, przewiewnem i chłodnem miejscu. Dobrze jest, jeżeli wiatr działa na ptaka, gdyż przez to rozciąga się pierze, które mogło być ściągnięte. Wilgotne piwnice nie nadają się do przechowywania ptaków, przeznaczonych do wypchania.

WAPITI.

(według źródeł amerykańskich).

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, znajduje się tylko jeden gatunek wapiti, mianowicie Cervus canadensis. Oprócz tego spotykamy podgatunek wapiti, zwany kalifornijskim lub zachodnim (Cervus canadensis occidentatis) przeważnie na Vancouwerze, pobrzeżach Waszyngtonu i Oregonu, aż do północno-zachodniej granicy Kalifornii. Po zatem spotykamy wapiti lub doń podobne jelenie w innych częściach świata; zoologicznie zaliczają ich do grupy łosiowatych i uważają za najpotężniejszych reprezentantów gatunków pokrewnych jeleniom. W Azyi obserwowano dotychczas dwa ich podgatunki — altajskie i mandżurskie wapiti. Pierwszy, zwany również jeleniem tiań-szanickim, a przez sybiraków „sochatym“, znajduje się w lasach koło gór Altajskich i Tiań-szańskich na zachód od mongolskiej pustyni. W porównaniu z amerykańskiemi wapiti, wykazuje następujące różnice: ma krótsze nogi, dłuższy korpus i stosunkowo mocne rogi, które jednak nie są tak wspaniałe, jak u niektórych amerykańskich. Okazy tej wspaniałej zwierzyny w Europie oglądać można tylko w ogrodach zoologicznych i zwierzyńcach; na Syberyi hodują „sochate“ jako domowe zwierzęta, gdyż chińczycy szpik ich rogów używają do przyrządzania lekarstw i płacą za nie drogo.

Mandżurski wapiti jest to nieco odrębny, lokalny podgatunek, którego maść latem jest czerwonawą. Specyalnie wyróżnia się on oryginalną formą rogów. Napotkać go można w Europie w niektórych ogrodach zoologicznych. Przypuszczać należy, że jelenie syberyjskie więcej są zbliżone do grupy wapiti. Amerykański zoolog Bayden zaznacza, że w Stanach Zjednoczonych zupełnie niewłaściwie uważają wapiti za łosie. Ma on bezwarunkowo racyę. Ameryka posiada tylko jeden gatunek łosia, najbliżej spokrewnionego ze skandynawskim. Często sportsmeni nie odróżniają amerykańskich od skandynawskich. Należy zwrócić uwagę na to, że łoś skandynawski (Alcis palmatus) jest najpotężniejszym przedstawicielem rodziny jeleni w Europie i Azyi. Niektórzy badacze zwierząt ssących uważają łosia amerykańskiego za identycznego z europejskim, inni jednak widzą w nich zasadnicze różnice i łosia amerykańskiego nazywają Alcis americanus.

Według Elliota geograficzne granice osiadłości wschodniego wapiti stanowią góry skaliste Nowego Meksyku, aż do Kolumbii brytyjskiej i od wschodniego jej krańca na zachód mniej więcej do 120 południka. Na wschód od wielkich równin wapiti został już wytępiony; rzadko tylko pojedyńcze okazy można napotkać w północnej Minnesocie i Dakocie.

J. E. Coton twierdzi w znanem dziele „The Antelope and Deer of America“, że wapiti skutkiem postępów cywilizacyi ludzkiej coraz więcej był wypierany z jednej miejscowości do drugiej. Z poglądem tym nie można się zgodzić; przeciwnie, należy przypuszczać, że w miejscowościach zajętych przez białych, wapiti jest poprostu wytrzebiony bez żadnej potrzeby; właśnie więc dzięki „kulturze“ białych zwierz ten ucieka do innych miejscowości, chroniąc się przed prześladowaniem.

Czasopismo fachowe „Shoting and Tishing“ powołując się na powagi, pisze między innemi: „Wapiti w północnej Ameryce znacznie ucierpiał od prześladowań, tak, że obecnie znacznie trudniej, niż przed 20 — 30 laty zdobyć wspaniałe jego rogi. Przed 12 do 15 laty zimą w Colorado, Wyomingu i Montanie można było napotkać stada wapiti, składające się z tysięcy sztuk, obecnie stada liczą 20 — 40 sztuk“. Pisał powyższe słowa pewien angielski sportsman; nawiasem zaznaczyć należy, że właśnie anglicy najwięcej się przyczynili do wytępienia wapiti.

Że polowanie na wapiti nie jest trudne, stwierdza to następujący opis pewnego amerykańskiego doktora wojskowego: „Największa ilość wapiti ubitych przezemnie w ciągu jednej godziny, wynosiła 9 ze stada; trzy z nich były nadzwyczaj duże okazy. Prawie cały zapas mięsa z nich spożyli żołnierze mego garnizonu. Było to zimą; panowały silne mrozy; przeszło tydzień termometr wskazywał 40 do 50 stopni Celsyusza niżej zera. Owego dnia mróz był czterdziestostopniowy; z jednym z oficerów objeżdżałem mój okrąg lekarski. Grube warstwy śniegu pokryły ziemię, zwłaszcza w dolinach; natrafiliśmy na stado wapiti, złożone z 500 sztuk. Opuściły one dolinę, kierując się ku górom; większość dotarła już do przednich pagórków. Goniliśmy je, ile koń wyskoczy. Zerwał się silny wiatr, który donosił do nas odór potu rozgrzanych zwierząt. Zbliżywszy się do pagórka, zeszliśmy z koni, uwiązaliśmy je i pieszo wdrapaliśmy się pod górę. Oficer miał karabin wojskowy Springfielda, ja zaś miałem karabin oficerski kalibru 44, broń straszną. Jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy ujrzeli przed sobą ogromne stado; niektóre sztuki wygrzebywały ze śniegu pożywienie. Mój towarzysz dość dobrej tuszy, zmęczył się biegiem pod górę i ledwo mógł dech złapać, nie mógł też z tego powodu zaraz rozpocząć strzelaniny, wspaniałomyślnie więc ustąpił mi pierwszy strzał, od którego padły odrazu dwie sztuki, żerujące obok siebie; strzał przeszedł na wylot wapiti i jelenia. Z mej strony posypał się szereg strzałów; hukowi ich dzielnie akompaniowały

ciężkie strzały karabinu oficera, którego zmęczenie już przeszło; nasze strzały były bardzo skuteczne. Zwierzyna spłoszona naszymi strzałami, zbiła się w kupę i uciekała wązkim wąwozem, a że odległość nie przenosiła 230 metrów, padło wiele sztuk. W drodze rozstałem się z oficerem.

(D. c. n.).

Sposób tępienia lisów w norach bez użycia jamników.

Sądzę, że wielu pp. myśliwych i hodowców zainteresuje się sposobem wybierania z nór młodych lisów, praktykowanym na terenach myśliwskich Miedzeńskich z rezultatem bardzo dodatnim.

Strzelec, wyśledziwszy norę z młodymi lisami, urządza na pobliskiem drzewie pomost-czatownię i wezwawszy do współdziałania drugiego strzelca lub gajowego, bez przerwy dzień i noc czatują na stare lisy, przynoszące żer młodym. Często bardzo i kilka dni i nocy trzeba spędzić, zanim się uda zabić stare lisy.

Gdy już celu swego dopną, kopią u wejścia do nory, gdzie były świeże ślady, rów głębokości i długości około 2 łokci, szerokości około 1 łokcia, przykrywają go cieniutkiemi gałązkami, a wszelkie inne otwory szczelnie zatykają i zasypują. Do jednego niezasypanego otworu możliwie głęboko wsadzają na sznurku zabitą wiewiórkę, wronę lub coś podobnego i sznurek przeciągają do czatowni, gdzie zasiada strzelec.

Zgłodniałe lisiaki idą do żeru i wyrywają go sobie, co odczuwa strzelec przez poruszenie sznurka, i jak wędką podcina, wyciągając żer coraz bliżej powierzchni.

Lisiaki idą za żerem, i gdy są już przy samym rowie, strzelec przeciąga zdobycz na drugą stronę rowu, a lisy weń wpadają, i nie mogą się wydostać. — Powtarzając ten manewr kilkakrotnie, strzelec wybiera wszystkie młode lisy. W ziemi piaszczystej należy ściany rowu umocować deskami.

Jeżeli przed wybraniem młodych nie zostały zabite stare lisy, to strzelec urządza w pobliżu nową czatownię i przykuwa do drzewa na łańcuszku młodego liska, pozostałe przy życiu — ojciec lub matka — na krzyk małego przychodzą i prawie zawsze padają ofiarą uczuć rodzicielskich.

W roku 1912 zostały wybrane w ten sposób przez strzelców Miedzeńskich na terenach Kółka dwa gniazda, a na terenach sąsiednich 3, i w tym roku już 5 gniazd lisów.

K. Wigura.

Psy i łowiectwo w najdawniejszych czasach

Sięgnijmy myślą naszą aż do najpierwszych początków historyi ludzkiej, odczytując dzieje zamierzchłe z kości, których tysiące tysięcy odnaleziono w jaskiniach, cmentarzyskach i kurhanach. One potrafią mówić swą niemą mową, one mogą nas pouczyć, w jakim stanie było łowiectwo, w tych mgłą wieków okrytych czasach, kiedy ludzkość dopiero się narodziła.

W średnim stanie dzikości rodu ludzkiego polowanie było bodaj pierwszą i jedyną pracą, jaką ludzie wypełniali. Na najniższym stopniu swego rozwoju, w stanie zupełnej dzikości, ludzie żywili się wyłącznie pokarmami roślinnymi w stanie surowym, gdyż ognia jeszcze nie znali, w stanie zaś półdzikim, gdy przyrodzie wydarli sekret krzesania ognia, daje się zauważyć przejście od żywienia się roślinami do częściowego, a nawet zupełnego używania pokarmów mięsnych. Zaczęło się rozwijać łowiectwo i rybołówstwo, które były pierwszym przejawem świadomej działalności człowieka pierwotnego w celu utrzymania swej egzystencyi przez walkę o byt. A była to walka o byt w ścisłem tego słowa znaczeniu. Człowiek pierwotny miał do rozporządzenia tylko bardzo prymitywne narzędzia, służące za broń, jako to maczugę, kamienie i t. p. Jakżeż więc ciężko musiał on walczyć z olbrzymiemi zwierzętami owych czasów, aby zapewnić sobie egzystencyę w jaskiniach, które ludziom przez tysiące lat służyły za mieszkania, były jedynem ich schronieniem.

Wykopaliska w jaskiniach Belgii, Francyi, Niemiec, Anglii, Hiszpanii, pozostałości znalezione w nadwodnych budowlach palowych na jeziorach Szwajcaryi, pozwoliły nam zbadać tryb życia człowieka pierwotnego, a co za tem idzie, łowiectwa owych czasów.

To, co znaleziono w jaskiniach i budowlach palowych, składa się z resztek kości, broni, naczyń; z przedmiotów tych możemy wywnioskować o faunie owych czasów, a więc i o zwierzętach myśliwskich, z broni możemy wywnioskować, jakimi środkami człowiek pierwotny walczył ze zwierzętami, jak czynił je użytecznemi dla siebie.

Wśród wykopalisk z epoki kamiennej znajdujemy siekiery, topory, ostrza krzemieniowe, które zapewne były przymocowywane do trzonków drewnianych lub do patyków albo też do rogów lub wreszcie spojone z nimi przy pomocy żywicy. Zaostrzone szczęki niedźwiedzi jaskiniowych, hyen służyły jako narzędzia przy pracy.

W epoce lodowej oprócz zwierząt pożytecznych w teraźniejszem tego słowa znaczeniu (boć owego czasu i zwierzęta drapieżne były dla człowieka użytecznemi) obficie pojawiają się dzikie konie, renifery, olbrzymy gruboskórne, jak mamuty, nosorożce, dalej olbrzymie jelenie, żubry, tury, bawoły. Ze zwierząt drapieżnych należy wymienić jaskiniowe niedźwiedzie, hyeny, lwy, tygrysy, wilki, rysie, lisy, kuny. We właściwej epoce lodowej pojawiają się również zwierzęta podbiegunowe i alpejskie; polarne lisy, rosomaki, gemzy, świszcze, koziorożce, natomiast zwykłe jelenie, łosie i dziki ukazywały się rzadko, również bure niedźwiedzie i borsuki. Koniec epoki lodowej charakteryzowało przerzedzanie się, ewentualnie zanikanie niedźwiedzi jaskiniowych, turów, bawołów, olbrzymich jeleni, jaskiniowych hyen i lwów; zwierzęta drapieżne reprezentowały wówczas prawie te same gatunki, co i obecnie, t. j. wilki, lisy, kuny, niedźwiedzie i t. p.

W następującej po lodowej, epoce diluwialnej, zwierzęta polarne i alpejskie wędrują do miejscowości z odpowiednim dla ich istnienia klimatem — na północ i na wysokie góry; poczynają zanikać olbrzymy gruboskóre, mamuty i nosorożce, jaskiniowe lwy i hyeny, rozmnażają się natomiast zwierzęta myśliwskie w teraźniejszem tego słowa znaczeniu i stanowią charakterystykę danej epoki. W pokładach diluwialnych znajdujemy broń kamienną w formie toporów, noży, oszczepów i lanc, umocowanych na rękojeściach z rogu. Znajdywano również proce. Sideł, jam do łapania zwierzyny, jak również pomocników myśliwego, oswojonych psów, nie znano jeszcze w epoce diluwialnej.

Szczątki jakoby psów, które znaleziono w australijskich wykopaliskach z czasów diluwialnych, są prawdopodobnie szczątkami australijskiego dingo, którego uważają za zdziczałego psa, a który, zdaniem naszem, nie ma nic wspólnego z psem domowym, *canis familiaris*, i który nie był obłaskawionym ani też wytresowanym do polowania. Wogóle nie można polegać na wiarogodności przypuszczeń, jakoby psy już istniały w epoce diluwialnej, gdyż jest to oparte na wykopaliskach jaskiniowych, których wieku powstania niepodobieństwem jest ściśle określić; natomiast faktem jest, że w epoce kamiennej istniała pewna rasa psów, większych od borsuków, a które pomagały ludziom przy polowaniu; szczątki ich znaleziono w szwajcarskich, nadwodnych budowlach. Z powodu, że kości psów tej rasy znajdywano często razem z kośćmi borsuków, uzasadnionym zdaje się być wniosek, że ten pies z epoki kamiennej jest pierwszym i najstarszym na ziemi naszej psem myśliwskim, używanym do polowania na bobry i borsuki; możliwem też jest, że był on używany do tropienia lub też jako posokowiec, gdyż wobec prymitywnej broni ówczesnej i olbrzy-

nich rozmiarów zwierząt, trudnych do zabicia, posokowcy były niezbędnymi.

W epoce neolitycznej, gdy ludzkość przestała się już wybijać ze stanu dzikości, polowanie i rybołówstwo stały się już normalną gałęzią pracy, mającej na celu utrzymanie egzystencyi człowieka. W dziedzinie rybołówstwa dokonywano w owym okresie doniosłych wynalazków wędki i sieci, w dziedzinie łowiectwa wynalezienie łuku i strzały było olbrzymim postępem. Stan zwierzyny staje się coraz obfitszym i pojawia się coraz więcej łosi; nie zanikły dzikie konie; tury, żubry, bawoły, jelenie, sarny, gemzy, koziorożcy, dziki przepełniają puszcze; ptactwa obfitość; głuszce, cietrzewie, łabędzie, gęsi, kaczki; licznie też są reprezentowane zwierzęta drapieżne: rysie, lisy, wilki, dzikie koty, dzikie psy, kuny, borsuki, niedźwiedzie i wydry.

(Dok. nast.).



Ze wspomnień po Hagenbecku.

Posiadacz największego zwierzyńca w Europie, handlarz dzikich zwierząt na największą skalę, był może tych zwierząt największym znawcą i największym miłośnikiem. Trzeba naprawdę wczytać się w dzieła zmarłego niedawno Karola Hagenbecka, aby zrozumieć, że był on nietylko myśliwcem, nietylko handlarzem, że był naprawdę znawcą przyrody, że ukochał głęboko jej twory, że umiał oddziaływać na zwierzęta bardziej, niżeli niejeden znany i głośny poskramiacz.

Nie może ulegać wątpliwości, że nie było na świecie człowieka, któryby w dziedzinie połowu zwierząt, w dziedzinie ujarzmiania ich, posiadał więcej doświadczenia, aniżeli Karol Hagenbeck. Zawód jego dawał mnóstwo przyjemności, jakich doznaje niemal każdy myśliwy; ale równocześnie kryły się w nim liczne niebezpieczeństwa. Przytem obok wielkich zysków materyalnych, narażał się niejednokrotnie na wielkie straty, co zwykłemu myśliwemu nie grozi nigdy. Straty bywały niekiedy olbrzymie.

Przed niewielu laty dostarczył mu jeden z agentów myśliwskich pięć pytonów z Singapore; największy z wężów miał 27 stóp długości, najmniejszy 22 stopy. Zwierzęta bądź co bądź i dzisiaj jeszcze dosyć rzadkie w Europie, zniosły daleką podróż doskonale. Po przywiezieniu do Bremy były zupełnie zdrowe i rzeźkie. Skoro jednak chciano je wydobyć w Hamburgu ze skrzyni, okazało się, że niema ani jednego żywego; wystarczyła jedna zimna noc, aby pozbawić je życia. Szkoda materyalna wynosiła 10 tysięcy marek. Ileż było takich wypadków. Zdarzało się, że Hagenbeck stawiał kilkakrotnie na kartę cały majątek w ciągu niewielu miesięcy. Tak np. donieśli mu raz agenci z rosyjskiego Turkiestanu, że udało im się nabyć znaczną ilość cennych zwierząt. I równocześnie niemal, gdy z Europy wysłano telegraficzne przekazy na banki, wychodziły z Azyi telegramy, że zakupione za olbrzymie sumy zwierzęta zginęły skutkiem wylewu rzek na terenie Sir-Daria. Innym razem cały zbiór zwierząt ze wschodniej Afryki — lwów, antylop, nosorożców i rzadkich ptaków — wyginął skutkiem choroby morskiej na morzu Północnem.

Ale Hagenbeck nie szczędził tysięcy i dziesiątków tysięcy, byleby zapewnić sobie ciągle nowe dostawy. We wszystkich częściach świata posiadał mnóstwo agentów doskonale opłacanych, którzy znowu posiadali upoważnienie najmowania do polowań dowolnej zupełnie ilości tubylców. Wystarczy przytoczyć jako przykład głośną ekspedycyę, wysłaną przez Hagenbecka do Mongolii na połów dzikich koni.

Agenci Hagenbecka użyli wówczas do polowania 2 tysiące mongołów, znających miejsca, gdzie dzikie konie prowadzą swe źrebaki w czasie od końca kwietnia do połowy maja. Wyprawa trwała niemal przez ciąg całego miesiąca. W oznaczonem miejscu rozbito olbrzymi obóz namiotów; ostrożnie palono ogniska, by nie spłoszyć dzikich zwierząt. Karawana żywiła się często kosztownemi konserwami na rachunek hamburskiego handlarza zwierzyny. W okręgu kilku mil rozstawiono czaty, mające baczyć na ruchy zwierząt i donieść ewentualnie o ich zbliżaniu się. Przez cały szereg dni nie uzyskano żadnego wyniku. Aż wreszcie pewnego wieczora wystrzał z pistoletu zakłócił długą ciszę. To był właśnie znak oczekiwany. Mongołowie dosiedli koników, podobnych raczej do kuców, otoczyli zwartem kołem całe stado ściganej zwierzyny i wychwytali źrebaki przy pomocy pętlicy. Przez ośm dni próbowano karmić młode zwierzęta, potem odprowadzono je do najbliższego portu z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Ale wiadomo, jak trudno wychować dzikie konie w niewoli; z liczby 32 źrebców, schwytanych dla Hagenbecka, tylko 28 dotarło żywcem do Hamburga; reszta wyginęła w drodze.

Największa i najkosztowniejsza z wypraw, jakie kiedykolwiek zorganizował Hagenbeck, była wyprawa myśliwska do Nubii. Jeden z naocznych świadków opisuje transport schwytanych zwierząt do Aleksandryi, gdzie wsadzono je wreszcie na pokład okrętu, w słowach następujących:

„Olbrzymia chmura pyłu wzniosła się pod górę. Z wnętrza jej rozlega się tysiąc najrozmaitszych głosów zwierzęcych, tysiąc najrozmaitszych poryków. Ryczą bawoły, zdobne najdziwniejszymi rogami; beczą kozy i antylopy o fantastycznych niemal kształtach; ponuro i twardo kroczą słonie, nienawykłe jeszcze do niewoli; groźnie odzywają się lwy, dziko rzucające się w więżących je klatkach; z tem wszystkiem zaś jeszcze łączy się gwar, jaki sprawiają setki gwałtownie gestykulujących ludzi. Lecz powoli opada chmura pustynnego piasku, a równocześnie spoglądamy z podziwem na dziwny, naprawdę dziwny pochód. Około dwustu Nubijczyków, myśliwców z dziada pradziada, eskortuje karawanę.

W długim szeregu kroczy kolejno przeszło 200 wielbłądów. Dźwigają one na barkach najrozmaitsze narzędzia, środki żywności, olbrzymie wory skórzane z wodą do picia dla zwierząt i ludzi. Potem drepcze 25 śmiesznych osiołków afrykańskich; któż się domyśli, jak ważne zadanie powierzono tym leniuchom do spełnienia. Za nimi kilkaset kóz, których mleko służy do odżywiania młodych, schwytanych zwierząt. Pierwotnie posiadała wyprawa 400 owiec, ale prawie wszystkie zjedzono podczas podróży. Nieszczęsne stworzenia nazbyt były smaczne i dla ludzi i dla zwierząt. Lecz oto uwaga naszaześrodkowuje się na bohaterach głównych wyprawy, oto idą lub jadą na grzbietach wielbłądów schwytane zwierzęta. Przodem kroczy 14 słoni, spokojnie, z rezygnacyą i powagą. Tuż obok niosą dwa ogromne wielbłądy z wysiłkiem dwie klatki, z których wyzierają ku nam potężne łby dwóch nosorożców. Kilkadziesiąt spętanych strusi posuwa się smutnie powoli naprzód, za niemi 7 młodych lwów w klatkach i coraz dziwniejszy staje się dziwny orszak; 11 żyraf, które wyciągają ustawicznie a bezcelowo długie szyje ku górze; 5 dzikich bawołów, parskających z niechęcią przy każdym przymuszonym kroku; dalej antylopy, gazelle, nubijskie mrówkojady, pantery, hyeny, dzikie koty, rysie, małpy, orły, sępy, drobniejsze ptactwo w dobrze zaopatrzonych klatkach"...

Dalsze losy transportu możemy poznać z innych relacyj. Na pokładzie statku, który wiózł to dziwne społeczeństwo zwierzęce do Europy, rozgrywały się niezwykłe sceny. Pewnego dnia jeden z uwięzionych lwów wyswobodził się z klatki i wybrał się na przechadzkę po pokładzie. Przerażeni marynarze umknęli w głąb kajut; odważniejsi pośpieszyli obudzić śpiącego właśnie w tej chwili Hagenbecka. On jeden nie stracił odwagi; pochwycił duży bat i wybiegł na pokład. Kapitan i sternik stali jeszcze na swych stanowiskach, obaj wybladli z rewolwerami w ręku. Hagenbeck kazał przynieść otwartą klatkę i bez wysiłku zapędził do niej zbuntowanego lwa.

Nawiasem wspomnieć można, że wyprawa ta kosztowała przedsiębiorcę z górą 200,000 marek.

Przyjaciel zwierząt nie mniejszym był przyjacielem ludzi. To też wszyscy, którzy zrządzeniem przypadku zetknęli się w życiu z Karolem Hagenbeckem, zachowują o nim jaknajmilsze wspomnienie.

A teraz słów kilka nie o Hagenbecku, lecz o jego wnuczku, czteroletnim Karolku, który całe dnie spędza między „wychowańcami" dziadka. Dziecko to tak przyzwyczaiło się do towarzystwa dzikich zwierząt, że nie odczuwa przed niemi najmniejszego strachu. Przeciwnie, z zupełnem zaufaniem zbliża się do olbrzymiego lwa *Atlas*, lub konia morskiego z pod bieguna.

Poniższa anegdotka dobrze odmaluje odwagę małego przyjaciela zwierząt.

Przez niedbałość jednego z dozorców wielki kuguar wymknął się z klatki. Gdy spostrzeżono tę ucieczkę, noc już zapadła i obawiano się, że drapieżnik skorzysta z ciemności i ucieknie z ogrodu. Mogłoby to spowodować poważne katastrofy.

Rozpoczęto więc energiczne poszukiwania. Napróżno jednak przetrząsano krzaki i skupiny drzew. Stracono już nadzieję, gdy nagle rozległ się wesoły, dziecinny głosik.

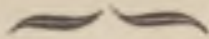
— Tutaj, tutaj. Trzymam go!

To mały Karolek wykrywszy drapieżnika w budce ogrodniczej między taczkami i grabiami, złapał go za kark, narażając się na śmierć między pazurami krwawego zwierza!

Aby nagrodzić ten czyn bohaterski, dziadek podarował malcowi peruwiańską lamę, którą Karolek postanowił wytresować. I doskonale mu się to udało. Lama przyzwyczaiła się do uzdy i siodła i codziennie jej mały pan jeździ na niej po ogrodzie. Czasami nawet zabiera swego młodszego braciszka.

Karolek ma przytem szalone zamiłowanie do historyi naturalnej. Nie umie jeszcze czytać, ale jego niezwykła pamięć pozwala mu znać najtrudniejsze nazwy zwierząt i potrafi nawet klasyfikować je na rodziny.

Przyszłość pokaże co wyrośnie z tego cudownego dziecka.



Polowanie na rybę zw. „Miesiącem".

Pod mianem ryby księżycowej, czyli ryby-miesiąca, znaną jest nader dziwna ryba, posiadająca zupełnie okrągłą postać, z krótkim, jakby zgniecionym, tułowiem i z szerokim, niby obciętym, ogonem. Skóra tej ryby jest gruba i twarda, brudnego, szaro-ceglatego koloru. Długość jej sięga siedmiu stóp, a ciężar dorosłych, zabitych okazów przechodził nieraz 24 cetnary (60 pud.) wagi. Ryba księżycowa mieszka wielkiemi stadami w morzu Śródziemnem; spotyka się też często u zachodnich, skalistych wybrzeży Irlandyi, gdzie odbywają się polowania na nią, stanowiące ulubiony rodzaj miejscowego sportu.

„Przy pięknej pogodzie — mówi pewien angielski obserwator — często widzieć się daje ryba — miesiąc; jakby uśpiona na powierzchni morza; nieruchoma sunie według woli fal, dając złudzenie martwej istoty". Życie i obyczaje tej ryby mało są jeszcze zbadane. Dawnymi czasy utrzymywano, że kwiczy, jak świnia, i wydaje światło, podobne do świecy, lecz te dziwaczne własności wcale się przez rybaków nie udowodniają.

Ryba księżycowa zjawia się u zachodnich brzegów Irlandyi zaraz po nastaniu ciepłych dni i wtedy żeruje całymi dziesiątkami, tymczasem późniejszą porą spotyka się tylko pojedyńczo. W ciepłe, pogodne dni wygrzewa się nieruchomo na powierzchni morza, bynajmniej nie zwracając uwagi, że na jej grzbiecie siedzą czajki i wydłubują morskie pasorzyty.

Wtedy to właśnie myśliwi starają się korzystać z każdej chwili, posyłając upatrzonej ofierze jedną kulę za drugą, i jeżeli jedna z nich trafi w koniec kości pacierzowej ryby, ta ostatnia w jeden moment zaczyna wyprawiać dziwaczne hece: robi mnóstwo błyskawicznych ruchów, pokrywając wodę na wielkiej przestrzeni masą piany i pozostając przeważnie na powierzchni morza, co umożliwia myśliwemu dalszą strzelaninę. Czasami ryba nagle znika pod powierzchnią, pozostawiając po sobie szeroki szlak krwi i piany. Zresztą zniknięcie to bywa zazwyczaj krótkotrwałe i doświadczony myśliwiec pilnie spogląda na powierzchnię morza, wiedząc napewno, że ofiara odeń nie umknie. Istotnie, ryba zjawia się niebawem, lecz nie wypływa, a podskakuje wysoko, powodując czasami nielada falowanie.

Otrzymawszy pięć, albo sześć kul, ryba-księżyc nareszcie umiera ostatecznie; wtedy ją poprostu za pomocą haka i liny przyciągają do brzegu. Polowanie na rybę księżycową stanowi więcej rozrywkę, niż korzyść, ponieważ, pomimo wagi swej i wielkości, daje bardzo mało tranu; mięso gotowane podobne jest do kleju, a solone wydaje obrzydliwy zapach.

Z. P.

Z kolonij angielskich.

Z Nairobi w angielskiej posiadłości Afryki Wschodniej donoszą do gazet londyńskich o przygodzie, jaka się przytrafiła podróżnikowi I. E. Crawley'owi. Myśliwy ten, zaopatrzony w fuzye i browning, wyruszył w towarzystwie tubylczego boya na polowanie na niedźwiedzie i nie uszedłszy nawet daleko, ujrzał na jakie 125 metrów siedzącego lwa. Strzelił tedy i zabił zwierzę, kiedy jednak zbliżył się do swojego łupu, ujrzał nagle, jak gdyby z pod ziemi wyrosło pięć nowych lwów. Prawdopodobnie spały one w pobliżu i przebudzone zostały wystrzałem. Nie namyślając się długo, Crawley zmierzył się i drugiego lwa położył trupem. Zachęcony tak niezwykłem powodzeniem spróbował myśliwy angielski wycelować do trzeciego króla pustyni, tem więcej, że reszta zwierząt przerażona rozbiegła się na wszystkie strony. Tymczasem strzał okazał się mniej celny i lew został tylko zraniony. Rozjuszone zwierzę ze straszliwym rykiem skoczyło ku miejscu, z którego padł strzał. Crawley huknął raz, drugi i trzeci, ale i tym razem kule spowodowały tylko nowe rany, lecz nie śmierć zwierzęcia. Dopiero, gdy lew był już w odległości 2 i pół metra, Anglik dobył rewolweru i ostatecznie go ubił. Uszczęśliwiony nemrod zabrał się do ułożenia martwych zwierząt, a zajęty tą czynnością, dojrzał na ziemi nowe ślady krwi, wskazujące, iż jeszcze jeden lew, czwarty został również zraniony. Wobec tego zaczął tropić i w odległości około kilkuset metrów wyskoczył lew, który przykucnął w wysokich na 12 metrów krzewach. Podrażnione zwierzę zerwało się, ale kiedy Crawley znów zmierzył, zawiodło go tym razem dotychczasowe szczęście. Chybił i w jednej chwili znalazł się w pazurach groźnego stworzenia. Lew rozwarł paszczę i Crawley zginąłby niechybnie, ale w śmiertelnej trwodze przyszła mu myśl do głowy wpakowania w ten otwór kolby własnej strzelby. Niestety! było już zapóźno, lew wpił pazury w kolana anglika i zdążył mu zadać pięć ran zębami. Zdawało się, że niema już ratunku, gdy wtem lwa zaczęły opuszczać siły i okazało się, że zadana mu strzałem rana była jednak śmiertelna. Lew nie mógł dokonać już dzieła zemsty. Czując zbliżającą się śmierć, zwierzę puściło swoją ofiarę, a Crawley oswobodzony, wzmógł się wkrótce na siłach. Rany myśliwego okazały się powierzchowne, lew natomiast zdechł, oddaliwszy się zaledwie kilka kroków.

Przy najbliższem obejrzeniu zabitych lwów okazało się, że były to wprawdzie wspaniałe egzemplarze, ale nadzwyczaj wychudzone i najprawdopodobniej od dłuższego już czasu nie mogły znaleźć żeru dla siebie.

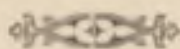
Do Anglii przybył w tych dniach prokurator Złotego Wybrzeża, sir Brandon Griffith. Korzystając z przyjazdu jego, spółpracownik „Times'ów" miał z nim wywiad w sprawie tajemniczego stowarzyszenia „Leo-

pardów", które pod zarzutem ludożerstwa przed kratkami sądu w Sierra Leone stawało. Wiadomości o tym procesie oddawna już się ukazywały w prasie angielskiej, niepodobna jednak było wyrobić sobie określonego zdania o zjawisku tak niezwykłem nawet na terytoryum afrykańskiem, zajętem przez anglików.

Jak się okazuje, w Sierra Leone pomiędzy ludnością czarną, dziś już stosunkowo ucywilizowaną (o stopniu kultury jej świadczy fakt, iż w 96 szkołach początkowych Sierra Leone kształci się 8519 uczni — liczba, która w stosunku do ogólnego zaludnienia 75.572 nie może nie być uznana za wysoką) istnieje nic wspólnego ani z rozpowszechnionemi w Afryce środkowej odmianami bałwochwalstwa nie mająca, sekta wyznawców śmierci. Śmierć pojmują oni nader oryginalnie: jest ona według nich nieskończonym oceanem dusz zmarłych, wchłaniających życie. Bardzo szczegółowo rozwinięta jest u wyznawców tej sekty wiara w istnienie larw, upiorów; teorya zaś o sukkubach i inkubach ogromnie przypomina teorye, które w średnich wiekach w Europie istniały. Sekta składa w ofierze ludzi — zarówno dorosłych, jak i dzieci, przyczem po spełnieniu obrządku — obecni pożerają ciała ofiar — wymaga bowiem rytuał, by pierwiastek życia w krwi pozostający zlał się z pierwiastkiem istoty żyjącej.

Śledztwo wdrożone przeciw 300 z górą oskarżonym ciągnęło się niesłychanie długo: kapłani sekty posiadają rozległe wiadomości okultystyczne, umieli przeto przez suggestyę tak plątać zeznania świadków, iż zdawaćby się mogło, że wina podsądnych nigdzie nie będzie udowodniona. — Ostatecznie udało się władzom europejskim zgromadzić dostateczne dowody, i oto 100 członków sekty „Leopardów" zostało skazanych 40 na karę śmierci, reszta zaś na deportacyę.

Sir Griffith przywiózł z sobą bardzo ciekawe dane, dotyczące mało znanej teozofii wyznawców śmierci. Będą one przedmiotem specyalnych badań brytańskiej akademii w Londynie.



PROCES ROOSEVELTA.

W zakończeniu olbrzymiego tomu dzieła Teodora Roosevelta, „Wędrówki afrykańskie przyrodnika myśliwego", którego to dzieła przekład polski świeżo ukończyliśmy w dodatku do „Łowca Polskiego", — autor, jakby przewidując, co go spotkać może, zadokumentował, że jest przeciwnikiem używania alkoholu.

Roosevelt właśnie miał świeżo niezwykły proces.

Widownią jego była Ameryka, ojczyzna niezwykłych zdarzeń, niezwykłych dla nas europejczyków.

Były prezydent Stanów Zjednoczonych, Roosevelt, wytoczył sprawę o potwarz i obelgę p. Newett, który w swym dzienniku napisał podczas walki wyborczej:

„Roosevelt się upija i to często. Wiedzą o tem wszyscy jego przyjaciele".

Roosevelt pragnąc położyć koniec rozsiewanym pogłoskom o swem pijaństwie, sądownie dowiódł swej trzeźwości. Sądowi przedstawił długi szereg świadków, wszystko ludzi wybitnych, którzy zaświadczyli iż był zawsze umiarkowanym w piciu.

W miasteczku Ipshening w stanie Michigan wychodziło pisemko, którego wydawca, aby zyskać rozgłos i abonentów, napisał obszerny artykuł, że Roosevelt jest nałogowym pijakiem i został przez byłego prezydenta zaskarżony o 10 tysięcy dolarów odszkodowania. Na proces Roosevelt przybył w towarzystwie sekretarzy i lekarza przybocznego. Powołano na świadków domowników byłego prezydenta, przyjaciół i osoby, które w swoim czasie towarzyszyły Rooseveltowi w podróżach po Afryce w jego polowaniach. Wszyscy zeznali, że były prezydent nie używa zbytnio alkoholu, że jest raczej wstrzemięźliwym w używaniu trunków. Sam Roosevelt tak o sobie mówił:

— Pijam codziennie do obiadu dwa kieliszki madery, wieczorem zaś stale szklankę wody „Vichy" lub „Poland", mniej więcej dwa razy na miesiąc kieliszek szampańskiego — ale z porady lekarskiej. Piwa nie pijam wcale, jak również nie używam wódek, ani „aperitiwów". Gdy podróżowałem po Afryce, mieliśmy z sobą butelkę koniaku (jedną), wziętą na wszelki wypadek. Kiedy pewnego dnia czułem się niezdrów, lekarz zalecił mi wypić kieliszek tego trunku, ale zaledwie umaczałem usta, wyplułem ze wstrętem.

Wobec takich zeznań proces obfitował w momenty humorystyczne, które pobudzały publiczność do wybuchów śmiechu. Ostatecznie redaktor po trzech dniach rozpraw i po wygłoszeniu ognistej obrony, cofnął oskarżenie — przeprosił byłego prezydenta, a ten zrzekł się 10 tysięcy dolarów. Sąd jednak, pomimo zgody stron, skazał redaktora na zapłacenie Rooseveltowi 6 centów odszkodowania. W ślad za procesem ukazały się ilustracye w prasie amerykańskiej na temat alkoholizmu i Roosevelta. *World* nowojorski w części ilustrowanej zamieścił pod tytułem: „Co piją nasi wielcy ludzie?" rysunek wyobrażający Wilsona przy kieliszku „Coctailu", Bryana przy kieliszku „Grape juce", przy Roosevelcie zaś postawiono butelkę ze smoczkiem.



Jeszcze o zwierzyńcu.

Z powodu poruszonej w prasie sprawy „Ogrodu Zoologicznego" w Warszawie, p. Okl pisze w „Kur. Warsz.". Nie narodził się jeszcze, a już sprowadza troskę posępną ojcom swoim. Obojętny czytelnik sporów „założycieli", tych, co zapoczątkowali sprawę, i tych, co chcą ją, mimo wszystko, doprowadzić do skutku, miewa chwile wątpliwości:

— Czy tu chodzi o dyrektorów czy o — zwierzęta?

Bo proszę posłuchać: grupa ludzi zebrała nieco grosza i zyskała bezpłatny, jak się wyraża, kilkomorgawy teren pod klatki. Napisała wiele projektów, więcej jeszcze artykułów i pieszczone od lat wielu zamiary, przystroiła nareszcie w formy, wymagane przez prawo.

To trwało lat parę.

Potem coś się popsuło, ludzie mniej stali się hojni, zapisy nie przekroczyły trójki zadatkowej, a ambicye „grup" założycieli, akcyonaryuszów, kandydatów na nich, wnioskodawców, oponentów, obrońców i sympatyków stanęły wobec okropnie ciężkiego dylematu.

— Nowa ustawa czy stara? Nowy zwierzyniec, czy stary ogród zoologiczny? Panowie z ambicyą, czy panowie z zaparciem się osobistem dla sprawy?

I gra tych czynników, daleka oczywiście od akordów harmonijnych, jęła zaprzątać opinię.

— Czy dasz coś na ogród? — zapytałem jednego z „danych" obywateli, którego imię towarzyszy każdej sprawie publicznej.

— Na który? Na stary, czy nowy? Pierwszego już niema, bo pierwsi początkodawcy nie chcą odstąpić go drugim, a drugiego nie będzie, bo z kłótni nie rodzi się czyn. Gdy będziesz wiedział o trzeciej kombinacyi, wolnej od nurtów poprzednich, powiedz mi, a może pójdę z nią w robocie.

Tak więc w oczach naszych psuje się dobra sprawa. A wiecie dlaczego?

Dlatego, że inicyatorów i działaczów było na początek za — wielu.

Któż to z nas nie pamięta i — przy okazyi nie prześle w stronę Powązek westchnienia — o tym, który starczył za szeregi inicyatorów i „nurty" sporów, przeszkody formalne i trudności kapitału zażegnywał tylko potęgą swej woli?

Dzielny Jan Maurycy Kamiński zainicyował ogród zoologiczny w czasach cięższych, niż dzisiejsze. Nietylko pod względem ekonomicznym, łatwości zrzeszeń i lotności kapitału zbiorowego, lecz i pod względem trudności

administracyjnych. Sam zastępował tych, co zapisali wnioski, a nie wnieśli pieniędzy, sam nabył teren, sam stworzył administracyę.

A jeżeli nie mógł udźwignąć ciężarów silniejszych od woli swej i energii, to dlatego tylko, że wraz z energią i tęskontą czynu, miał za wiele... wiary w ludzi. Ci go zawiedli, on zrujnował ciężki swój dorobek i ogród upadł.

Ale to jeden człowiek robił i jedna kieszeń płaciła. Dwóch lub trzech z pomiędzy was, szanowni opiekunowie sprawy, zrobicie dwa lub trzy razy łatwiej, to, co zrobił Kamiński, a więc — wszystko.

Dlaczego więc szukacie ujścia energii swej w — polemice?

KONKURS NA BRAMĘ w PILAWINIE.

Józef hr. Potocki ogłosił w końcu marca r. b. za pośrednictwem Koła Architektów warszawskich konkurs dla budowniczych polskich na projekt bramy wjazdowej z szarego granitu szepietowskiego do zwierzyńca w Pilawinie, łącznie z projektem dwóch przęseł, jako motywu do ogrodzenia zwierzyńca, przeznaczając pięćset rubli na dwie nagrody (I — rb. 300 i II — rb. 200) za względnie najlepsze z pomiędzy nadesłanych prac.

Sąd konkursowy stanowią Józef hr. Potocki i trzech architektów pp.: Karol Jankowski, Władysław Marconi i Kazimierz Loewe, jako zastępca.

Dnia 30 czerwca upłynął termin ostateczny nadsyłania prac i oto okazuje się, iż najprzód liczebnie konkurs powiódł się doskonale. Do Stowarzyszenia Techników nadesłano *trzydzieści ośm prac*, kótre niebawem sąd rozpatrzy. Po ogłoszeniu wyroku wszystkie projekty będą wystawione w salach Stowarzyszenia Techników dla publiczności.

Zdaje się, że i jakościowo plon konkursowy będzie pomyślny. Konkurs Pilawiński, ogłoszony przez hr. Potockiego poruszył wyobraźnię naszych artystów-budowniczych w kierunku na ogół dość zaniedbanym, gdzie dość dawno panuje u nas szablon, lub wzorowanie się na pomysłach cudzoziemskich, najczęściej niepasujących do naszego krajobrazu i stylu rodzimego.

Dzięki temu konkursowi, nietylko wspaniały i jedyny bodaj takiej rozległości i takiego doboru zwierzyniec Pilawiński, zyska piękną i godną siebie klamrę, spinającą jego ogrodzenie, lecz budownictwo polskie stworzyło za jego pobudką bez wątpienia kilkanaście udatnych bram wjazdowych do naszych parków krajowych.

To też wyroku sądu konkursowego i wystawy projektów oczekujemy z wielką i słuszną ciekawością.

Strzelanie do gołębi.

Z placu.

Dnia 2-go czerwca.

Nagroda Warszawskiego Klubu Myśliwskiego. rb. 200: 1 gołąb na 27 m., od 11-go gołębia meta 29 m. Wpisowe 12 r. Najmniej 12-tu strzelających. I — 150 rb i żeton, II—50 rb. i 10% stawek, III—25% stawek, IV—15% stawek.

Pp. hr. St. Rozenwerth $^{10}/_{10}$ (54 r. 30 kop. i żeton), St. Kotkowski $^{10}/_{10}$ (54 r. 30 k.), A. Wolski $^{10}/_{10}$ (54 r. 30 k.), S. Lilpop $^{10}/_{11}$ (54 r. 30 kop.).

W nagrodzie tej przyjmowało udział 21 strzelających. Pieniędzmi podzielili się wymienieni wyżej.

Nagroda rb. 300 ofiarowana przez hr. St. de Rosenwerth: 50 wyrzutek (sztucznych gołębi) na 19 m. po 5 wyrzutów. Na I nagrodę wymaganych 80% trafionych. Najmniej 8 strzelających. Wpisowe 15 r. I—300 r., II—30% stawek, III— 20%.

Nagroda ta wywołała mnóstwo komentarzy i z góry przesądzono, że nie znajdzie się u nas strzelec, który na taki dystans mógłby zadosyć uczynić warunkom nagrody. Istotnie, warunki trudne: 19 metrów i 80% trafionych wyrzutek — to zadanie nie dla byle jakiego strzelca. Z drugiej jednak strony warunki nie są niemożliwe do spełnienia, jak wykazali strzelcy na Igrzyskach Olimpijskich w Sztokholmie, a i w Niemczech, gdzie sport strzelania do wyrzutek jest bardzo w użyciu, są strzelcy, którzyby do tej nagrody chętnie i nie bez szansy stanęli. Że jednak ofiarodawcy nagród nie mają na celu premiowania strzelców niższej klasy, lecz przeciwnie, pragną ich zachęcić do wyrobienia w sobie klasy jaknajwyższej, przeto dziwić się nie można, że hr. Rosenwerth nagrodę tę postawił w warunkach trudniejszych, aniżeliby wielu z konkurujących pragnęło. Pomimo całej sensacyi, jaką ta nagroda wywołała na placu, zapisało się do niej 17 kondydatów, przeto po za ofiarowaną nagrodą, utworzyły się znaczniejsze nagrody dla II i III strzelca, co dodało bodźca do rywalizacyi.

I nagroda nie rozegrana, II hr. St. Rosenwerth $^{28}/_{50}=56\%$ (76 rb. 50 k.), III M. Topolnicki $^{25}/_{50}=50\%$ (51 r. —).

Ofiarodawca tej nagrody zadeklarował po 300 r. rocznie przez trzy lata na konkursy wyrzutkowe, z warunkiem, że jeżeli w danym roku nagroda wzięta nie będzie, dołącza się w całości do nagrody roku następnego. Wobec tego nagroda ta w roku przyszłym wynosić powinna 600 rb.

Dnia 4 i 5 czerwca.

Rozgrywkę Championatu, który wyznaczony był na te 2 dni, zamieściliśmy we właściwym czasie.

Dnia 6 i 7 czerwca.

Nagroda im. Vice-Prezesa Koła, p. St. Lilpopa, 1000 rb.: 15 gołębi, 1-go dnia 7, 2-go—8 gołębi, handicap. Strzelający, który chybi gołębia, może otrzymać jedną poprawkę, za którą płaci 30 rub. i strzela gołębia po skończeniu kolejki, w której chybił. Najmniej 20 strzelających. Wpisowe 25 rb. Nagroda I—1000 rb. i żeton, II—40% stawek, III—20%.

Do nagrody tej pokaźnej zarówno ze względu na wysokość premij, jak i dającą szansę wkupna, zapisało się 30 strzelców. Żaden z konkurujących nie sięgnął po laury bez poprawki, ostatecznie zwyciężyli:

Pp.: Z. Broel-Plater $^{23}/_{23}$ (1000 rb. i żeton), hr. P. Szuwałow $^{22}/_{23}$ (267 rb. —), St. Zaborowski $^{16}/_{17}$ (267 r. —), L. Dzięgielewski $^{16}/_{17}$ (267 r. —).

Taki rezultat finansowy z tej nagrody wypadł w ten sposób, że po 15 gołębiu, gdy pozostało już tylko 4-ch strzelających, wszczęto układy o podział wszystkich pieniędzy, jak to się praktykuje zwykle na wielkich standach zagranicznych. Układ jednak nie przyszedł do skutku w całości, tylko trzej ostatni z wymienionych wyżej postanowili podzielić się równo nagrodami, jakie im przypadną w udziale. Gdy więc hr. Z. Broel-Plater wziął nagrodę I-ą, trzej pozostali podzielili się II-ą i III-ą.

Dnia 8-go czerwca.

Nagroda ofiarowana przez ordynata hr. Maurycego Zamoyskiego rb. 200: handicap, 1 gołąb. Najmniej 12 strzelających. Wpisowe 10 rub. I — 150 rb. i żeton; II — 50 rb. i 20% stawek; III — 30% stawek.

Pp. L. Dzięgielewski $^{10}/_{10}$ (150 rb. i żeton); H. Sylwestrowicz $^{10}/_{10}$ (98 rb.); B. Piwowarow $^{10}/_{12}$ (72 rb.). Strzelało 24-ch.

Nagroda Wisły, handicap, 1 gołąb. Każda I nagroda zdobyta na standzie waszawskim cofa strzelającego o pół metra; niemający I nagrody strzelają o 1 metr bliżej od swego handicapu. Poza 30 metrów strzelający nie cofają się. Najmniej 10 strzelających. Wpisowe 10 rb. I — 100 rb., przedmiot i żeton; II — 30% stawek; III — 20% stawek.

Pp. A. Wolski $^{12}/_{13}$ (100 rb., przedmiot i żeton); S. Siemieński $^{12}/_{13}$ (69 rb.); St. Lilpop $^{11}/_{13}$ (46 rb.). Strzelało 23-ch.

Dnia 9-go czerwca.

Nagroda Standu rub. 300 Double-Chanse. Każdy strzelający ma prawo zapisania się na dwa miejsca za co opłaca podwójne wpisowe. Handicap, 6 gołębi. Po zerze strzelający czeka otwarcia się szansy. Najmniej 15 strzelających. Wpisowe 15 rb. I—200 rb. i żeton, II — 75 rub., III — 25 rb.

Nagroda ta budziła ogromne zainteresowanie. Zapisało się do niej 24-ch, wszyscy prawie na dwa miejsca. Rezultat następujący:

Pp. Różyński [illegible] (66 rb. 5 kop. i żeton); D. Skorbatow $^{21}/_{23}$ (66 rub. 65 kop.); H. Kotkowski $^{10}/_{12}$ (66 rb. 55 kop.). Zwycięzcy 10-ym gołęb. podzielili się pieniędzmi i walczyli tylko o żeton.

Dnia 11-go czerwca.

Nagroda Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa rub. 100, 1 gołąb, handicap, od 6-go gołębia rozgrywka na 28 metrów. Najmniej 10 strzelających. Wpisowe 10 rb. I — 100 i żeton; II — 30% stawek; III — 20% stawek.

Pp. L. Malinowski 14/14 (100 rb. i żeton); D. Skorbatow 13/14 (51 rb.); Nicratow 13/13 (34 rb.). Strzelało 17-tu.

Dnia 12-go czerwca.

Nagroda Warszawskiej Spółki Myśliwskiej rb. 100: handicap, 1 gołąb, rozstrzeliwanie przez barrage zasadniczy (ob. nagrodę z d. 26 maja). Najmniej 10 strzelających. Wpisowe 10 rb. I — 100 rb. i żeton; II — 50% stawek; III — 20% stawek.

Pp. L. Dzięgielewski 7/7 (100 rb. i żeton); L. Malinowski 7/8 (32 rb. 50 kop.); St. Lilpop 7/8 (32 rb. 50 kop.). Strzelało 13-tu.

Dnia 14-go czerwca.

Nagroda Standu rb. 200 z wkupną rozłożoną. Handicap, 10 gołębi. Wpisowe 12 rub. I — 100 rb. i żeton; II — 75 rb.; III — 25 rb.

Pp. L. Malinowski 10/10 (100 rb. i żeton); L. Dzięgielewski 10/10 (50 rb.); hr. M. Scipio del Campo 10/10 (50 rub.). Strzelało 12-tu.

Dnia 15-go czerwca.

Nagroda Moskiewskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa. 1 gołąb, handicap, po 3 gołębiach barrage zasadniczy. Najmniej 10 strzelających. Wpisowe 10 rb. I — 50 rb. i żeton złoty; II — 30 r. i żeton emaliowany; III — 20 rub. i żeton srebrny.

Pp. M. Skorbatow 9/9; M. Malinowski 8/9; St. Zaborowski 7/9. Strzelało 20-tu.

Dnia 17-go czerwca.

Nagroda Sportsmenów. 1 gołąb, handicap, od 6-go gołębia rozgrywka na 28 m. Mający handicap do 25 m. otrzymuje jedną poprawkę. Wpisowe 25 rub. Sportsmeni, którzy złożyli składkę, wpisowego nie opłacają. I — 35% składek i stawek i żeton; II — 25%; III — 15%.

Pp. hr. Z. Broel-Plater 20/20 (100 rb. i żeton); hr. M. Potocki 10/10 (80 rb.); J. Gregorowicz 10/10 (50 rb.); ks. Wł. Czetwertyński 9/10 (32 rb. 50 kop.). Strzelało 10-ciu. Nagrodę IV ustanowiono już po wydrukowaniu programu.

Dnia 18-go czerwca.

Nagroda Standu rub. 100: handicap, 1 gołąb, barrage zasadniczy. Najmniej 10 strzelających. Wpisowe 10 rub. I — 75 rb. i żeton, II — 25 rub.

Pp. hr. M. Zamoyski 10/10; hr. Z. Broel-Plater 9/10. Strzelało 10-u.

Dnia 21-go czerwca.

Nagroda Standu rub. 100: handicap 4 gołębie. Najmniej 8-iu strzelających. Wpisowe 5 rub. I — 75 rb. i żeton; II — 25 rub.

Pp. St. Zaborowski 4/4; J. Olszowski 4/4. Strzelało 11-tu.

Dnia 22-go czerwca.

Nagroda Standu rub. 200 z jedną wkupną, handicap, 10 gołębi, barrage zasadniczy. Najmniej 12-tu strzelających. Wpisowe 12 rb. I — 100 rb. i żeton; II — 60 rb.; III — 40 rub.

Pp. hr. Z. Broel-Plater 10/10; St. Zaborowski 10/10; hr. M. Zamoyski 10/10. Dwaj ostatni podzielili się II i III-ą nagrodami. Strzelało 18.

Z posiedzeń.

Na posiedzeniu Delegacyi wyborczej w d. 7 lipca następujący kandydaci zaliczeni zostali w poczet Członków Rzeczywistych Warszawskiego Oddziału: pp. Trepka Adam z Rychłocic; Bitschan Paweł z Warszawy; Sachs Edward z Warszawy; Libiszowski Szczęsny z Mroczków; Witowski Władysław z Warszawy; pułk. Bylewski Tadeusz z Warszawy.

Przepisy

Konkursowej Próby wyżłów (field-trial), urządzonej przez Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa w 1913 roku.

1) Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa urządza w bieżącym 1913 roku, tytułem próby i dla zachęty posiadaczy wyżłów, **próby polowe (field-trial)** z nagrodami dla najlepszych i najlepiej ułożonych wyżłów.

2) Do konkursu mogą być zapisane wyżły wszelkich ras, przyczem podane być winny: wiek, pochodzenie i pole psa.

3) Zapisy przyjmowane będą w Kancelaryi Towarzystwa od daty ogłoszenia konkursu do d. 3-go września włącznie. Zapisujący wnoszą tytułem wpisowego po rb. 5 od wyżła. Konkurs odbędzie się w dniu 4-ym września 1913 r.

4) Psy chore i suki grzejące się do konkursu dopuszczone nie będą. Na punkcie zbornym w dniu konkursu i o godzinie wskazanej przez Kancelaryę psy winny się znajdować w obrożach i na łańcuszkach. Sędziowie będą kwalifikowali psy na miejscu, przyczem psy wyraźnie nierasowe mogą być przez nich odrzucone. Kolej próby psów ustanawia się przez losowanie. Spóźniający się pies będzie próbowany na końcu.

5) Psy próbowane będą na kuropatwach. Próby odbywać się będą w okolicach Warszawy.

6) Orzeczenie sędziów nie podlega apelacyi.

7) Właściciel sam (lub przez strzelca) prowadzi psa, ściśle stosując się do wymagań i wskazówek sędziów.

8) Psy dzielą się na: 1) psy w I-em polu i 2) psy w II-iem i następnych polach. Za psy w pierwszem polu uważa się psy, urodzone nie wcześniej, jak 1-go stycznia poprzedniego roku. Wiek psa określa się podług rodowodu, a w braku takowego — podług opinii sędziów.

9) Jeżeli pies na którymkolwiek z poprzednich konkursów Towarzystwa nagrodzony, zakwalifikowany zostanie na konkursie obecnym do tej samej lub niższej nagrody, otrzymać może tylko piśmienne tego zaświadczenie.

NAGRODY.

Grupa I.

Nagroda I. — wielki złoty żeton emaliowany (lub gotowizną 50 rub.) i got. rb. 25.

Nagroda II. — złoty żeton (lub gotowizną 30 rub.) i got. rb. 20.

Nagroda III.—srebrny żeton (lub gotowizną 20 rub.) i got. rb. 10.

Grupa II.

Nagroda I. — wielki złoty żeton emaliowany (lub gotowizną 50 rub.) i gotowizną 50 rub.

Nagroda II. — żeton złoty (lub gotowizną 50 rub.) i got. rb. 25.

Nagroda III.—żeton srebrny (lub gotowizną 30 rb.) i got. rb. 20.

Sędziowie mogą przyznawać **Listy Pochwalne** w ilości nieograniczonej.

Sędziowie mają również możność wydawania nagród ticerom, w wysokości od 10 do 20 rub., wed'ug własnego uznania.



Drobiazgi myśliwskie.

Wypadek z bronią. We wsi Wólce Zegrzyńskiej 15-letni Jan Wojtasik, strzelając z floweru, postrzelił w głowę 12letnią Weronikę Zielińską, którą odwieziono do szpitala Przemienienia Pańskiego.

O łabędzia dla łabędzicy. W pismach prowincyonalnych spotykamy następującą, zabawną notatkę o osamotnionym łabędziu w Kaliszu. Cztery lata temu ofiarował ktoś miastu łabędzicę, która pływała sobie dotąd w parku miejskim, zyskując sympatyę wszystkich mieszkańców. Po niejakim czasie łabędzica zatęskniła za ogniskiem domowem. Była tak smutna, że aż serce krajało się kaliszanom. Ojcowie miasta, ludzie o czułych sercach, uchwalili dopomódz nieszczęsnej w strapieniach i zafundować jej... męża. Pan łabędź miał kosztować 65 rubli, że jednak miasto ma prawo mocą własną wydatkować nie więcej nad 50 rb., więc sprawa poszła do guberni. Po długim, długim czasie nadeszła odpowiedź, że łabędzica ma czekać na męża do... samorządu. Biedna łabędzica!

Dzik w klasztorze. Z Oleska piszą do „Słowa polskiego": W niedzielę d. 15 z. m. wydarzył się w Olesku niezwykły wypadek. Około godz. 5 po poł., po odbytych nieszporach w kościele OO. Kapucynów, gdy ludzie już

powychodzili z kościoła, a tylko jeden z braciszków porządkował świątynię, do kościoła wpadł przez główną bramę dwuletni dzik olbrzymich wymiarów, przerażając niezmiernie braciszka, który w jednej chwili, chroniąc się przed dziką bestyą, wskoczył na ołtarz obok zakrystyi. Dzik ruszył do zakrystyi, chcąc znaleźć jakieś wyjście, z czego skorzystał braciszek i, zamknąwszy zwierzę w zakrystyi, zaalarmował klasztor o tak dziwnym gościu. Posłano na posterunek straży skarbowej po broń, a rozjuszony dzik, widząc się w pułapce, usiłował ogromnym susem wywalić okno i uciec, ale to mu się nie udało, gdyż okno miało kraty. Skończyło się tylko na wybiciu szyb. Nadszedł wreszcie strażnik z dubeltówką i celnym strzałem przez okno powalił odyńca.

Stracenie słonia. Pisało się dawniej wiele o długowieczności słoni, jest to jednak legenda dziś coraz mniej prawdopodobna. Zwłaszcza w niewoli słonie nie żyją długo. W cyrku Charles w Czeskich Budziejowicach, zachorował na jakąś nieuleczalną chorobę jeden ze słoni, tak, że weterynarz poradził zabić go; słoń mógł mieć 35 lat. Proponowano odurzenie słonia, zastrzelenie lub otrucie; ponieważ to był piękny okaz, ważący przeszło dziewięć cetnarów, skutkiem tego wątpiono, czy można go będzie tak łatwo otruć i tu dopiero pokazało się, ile sił ma to gruboskórne zwierzę. Związano słonia grubymi łańcuchami i linami i dano mu do picia piwo, w którem było 30 gr. morfiny. (Cztery gramy wystarczają do zabicia człowieka). Słoń wypiwszy piwo, dostał najzwyczajniejszego „rausza". Wobec tego zastrzyknięto mu w części brzuszne 20 gr. cyankali, ilość dostateczna na wytrucie 1200 ludzi, nie wywarło to jednak żadnego wrażenia na słoniu, który stał dalej, słaniając się tylko na nogach, jak pijany. Widząc, że trucizna nie skutkuje, zastrzyknął mu weterynarz pod skórę pięć gramów scopolaminu, najstraszniejszej trucizny, której drobniutka ilość sprowadza natychmiastowy paraliż. Zwierzę runęło na ziemię, ale żyło dalej i zdechło dopiero po nowej injekcyi cyankali i po użyciu litra chloroformu.

Tancerka polująca na lwy. W Paryżu odbył się świeżo ciekawy proces. Sergiusz Dagilew, który od kilkunastu lat jeździ po Europie z rosyjską trupą baletową, zaskarżył tancerkę, sławną Idę Rubinstein, gwiazdę swego ensemblu, o zerwanie kontraktu i zażądał zapłaty 50.000 franków kary konwencyonalnej. Artystka broniła się tem, że jeszcze przed wejściem kontraktu w życie, udając się na polowanie na lwy do Afryki, telegrafowała z Madery do Dagilewa, że kontraktu nie uznaje, wobec czego kontrakt jej nie obowiązuje. Sędziowie nie przyznali racyi artystce, twierdząc, że dla tancerki jest ważniejszą rzeczą tańczyć, niż strzelać do dzikich zwierząt w Afryce.

Konkury ptaków. W świecie ptasim zaloty mają rozmaity charakter i przebieg. W tym celu np. jaskółka w okresie miłosnym wykonywa rozmaite sztuczne loty. Każde poruszenie odbywa się z pewnym temperamentem, brawurą, co ma na celu olśnienie samiczki, zwykle przyglądającej się tym popisom gdzieś na dachu domu lub kościoła. Są znowu takie gatunki ptaków, które nie zadowalniają się li tylko popisami sztuki lotniczej, ale używają jeszcze innych sposobów, umieją np. klaskać skrzydłami lub wykonywać takie piruety, które składają się na efektowny i z góry obmyślany taniec. Bekas — samiec ma również swój specyalny sposób przypodobania się samicy. Wznosi się on z sitowia z ogromną szybkością pod linią pochyłą, aż osiąga taką wysokość, że zaledwie dojrzeć go można gołem okiem. Na tej zawrotnej wysokości zatacza potem koła spiralne o coraz mniejszej średnicy i, wymiarkowawszy punkt, gdzie siedzi samica, z rozpostartemi skrzydłami, rzuca się, jak strzała, w przepaść. Nie chybia prawie nigdy i dumny ze swojej sztuki, siada obok samiczki, która, rozumie się, zachwycona takimi dowodami miłości, zgadza się wreszcie na założenie wspólnego gniazdka. Nie mniej „pracowite" konkury odbyć musi gołąb. Obchodzi on gołębicę to nastroszony gniewnie, to gruchający miłośnie, najwyraźniej kłania się główką swej ukochanej, tańczy przed nią, na co gołębica zda się, obojętnie patrzy, ale tylko do pewnej chwili kulminacyjnej. Bażanty-samce przed bażancicami wykonywują taniec całkiem podobny w swoich pas do poloneza. Struś klęka przed wybraną, drży na całem ciele i bije skrzydłami. Takich dowodów ubiegania się samców o względy i wybór samiczek świat ptasi dostarcza bardzo wiele.

Przygoda ze słoniem. Z Jarosławia donoszą do lwowskiego „Dziennika polskiego". Podczas sprowadzania wozów cyrku Kludskiego z rampy kolejowej, pomagał w pchaniu wozów słoń tresowany. Gdy słoń chwilami nie pracował, publiczność dawała mu bułki i bawiła się tem, jak słoń bułki wyciągał trąbą z kieszeni paltotów. Obecny tam wieśniak uczynił ruch, jakby do kieszeni bocznej swej bluzki wkładał bułkę i rozszerzył kieszeń, aby słoń wsadził trąbę. Słoń widocznie pojął, że chłopak chce z niego zadrwić, bo choć wyciągnął trąbę ku kieszeni, to jednak zamiast ją wetknąć w kieszeń, objął nią w okamgnieniu chłopaka w pół, podniósł krzyczącego w górę, wsadził do obok stojącej kadzi z wodą po samą szyję, następnie go wyciągnął i najdelikatniej postawił na ziemi. Ludzie w pierwszej chwili przerażeni, śmieli się następnie do rozpuku, chłopek zaś, wystraszony, ledwie miał siłę oddalić się i pewnie odejdzie mu chętka na przyszłość drwienia, choćby ze słonia.

HUMOR

Paru niedzielnych nemrodów podpiwszy opowiada swe zdarzenia:

— Mówię wam, gdy polowałem w Persyi było raz tak: Idę, wychodzi zając — bęc i do torby. Wychodzi lis — bęc i do torby. Wychodzi, panie tego, żbik — bęc i do torby, nareszcie z trzciny wyłazi tygrys... bęc i do...

— Słuchaj — przerywa jeden z obecnych — jeżeli i tego tygrysa wsadzisz do torby, dam ci w kark...

— Spudłowałem... spudłowałem...

Treść Nr. 14 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer „Łowca Polskiego" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „Łowca Polskiego" w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:
Smolna 48. w Warszawie.

OGŁOSZENIA.